

# VariArt

pismo kulturalno-literackie 03/2011



[www.wbp.olsztyn.pl](http://www.wbp.olsztyn.pl)



ISSN 2080-1483



## FOTOMONTER XI

Anna Rau

1950 r.

Gargulce z wieży kościoła Serca postanowiły wyjechać. Tym razem stanowczo i definitywnie!

Było ich cztery. Najpoważniejszy z nich spoglądał na północ. Często wpadał z tego powodu w nastroje depresyjne – „przez chroniczny brak witaminy D” – jak powtarzał – gdyż widywał słońce jedynie kątem oka. Najrubaszniejszym był ten, który patrzył na południe. Z uporem twierdził, iż jest Włochem, czym doprowadzał pozostałe rzygacze do ataków wesołości. Lubił też czasem pożartować z gołębiami, kłapiąc na nie zniecacka paszczą, tak że ptaki fruwały zachwycone, zwłaszcza nocami, zerwane ze snu. Zabawa bez końca. Gargulec od zachodu oswoił nietoperza. Nauczył go nawet robić stójkę – jednym słowem zwierzak komunikował się z nim, „wisząc” głową do góry. Wschodni rzygacz był filozofem, uprawiał jogę i powtarzał, że jest buddystą. Kościelnym buddystą.

Mimo różnic dobrze im się żyło. Zresztą powtarzały, że cokolwiek się nie dzieje, to „po prostu praca”.

Z pierwszym powiewem jesieni jaskółki stały się niespokojne. W końcu nagle zniknęły – a gargulce jak zwykle w tym okresie wpadły w stan ponurej desperacji i zachciały wreszcie coś zmienić w swoim życiu. Najprostszą metodą jest wyjazd. Taaak, wyjazd załatwilby wszystko!

- Po pięćdziesięciu latach porządnej pracy każdemu należy się urlop – Zachodni rozpoczął temat.

- Jesteśmy jedynymi gargulcami kościelnymi w mieście – powiedział Północny. – Podejdźmy do sprawy poważnie. Dokąd wyjedziemy? A zresztą – porzucimy pracę?!

- Za pracę się płaci – wtrącił Południowy.

- Jesteśmy jedynymi gargulcami w okolicy, w powiecie! – z natchnieniem przerwał mu Wschodni. – Jaką pracę? My mamy misję!

- Misję? – z politowaniem pokiwał głową Zachodni. – Naszą „misją” jest odprowadzanie, ładnie mówiąc, wody z wieży.

- Pitu-pitu, to my nie mamy po prostu pięknie wyglądać na kościele?

- Widziałeś się w lustrze? – z autentyczną ciekawością spytał Północny.

- Bo co?

- No dobra, a jak ja wyglądam?

- Lubię cię, ale trochę paskudnie.

- No, to jakbyś w lustro patrzył!

- Taaak, właśnie z powodu takich rozmów marzę, by wyjechać. Wyjechać – rozrzewnił się Wschodni – do Wilczego Szańca... – No, co? – dodał obronnie, widząc lekkie zaskoczenie pozostałych. – „Wilczy” – „Gargulczy”... Zresztą ludzie nie wierzą w gargulce,

Fot. z lat 50-tych XX w.  
ul. Kopernika i kościół NSPJ w Olsztynie  
Ze zbiorów WBP w Olsztynie

wierzą w wilki. Twój nietoperz mi powiedział...

- Kiedy mu dajesz sfermentowane gołobie nóżki, to nie takie rzeczy ci opowiada...

- Jedziemy, czy nie – przerwał im Południowy.

- A niby jak?

- Na skuterze!!!

- Ty prowadzisz?!

- Gadalem z jednym posągiem z prezbiterium. Jeśli go zabierzemy – to on!

- A jak z nim rozmawiałeś? – podejrzliwie spytał Zachodni.

- Przez nietoperza.

- To mój nietoperz!!!

- Przestańcie, przez to gadanie zostaniemy tu przez następne pół wieku!... Mam rodzinę we Francji – gadali o urlopie, gadali i tak siedzą na zadach już 13 wieków!

- Cicho, zaczyna padać! Do pracy, ofiary!

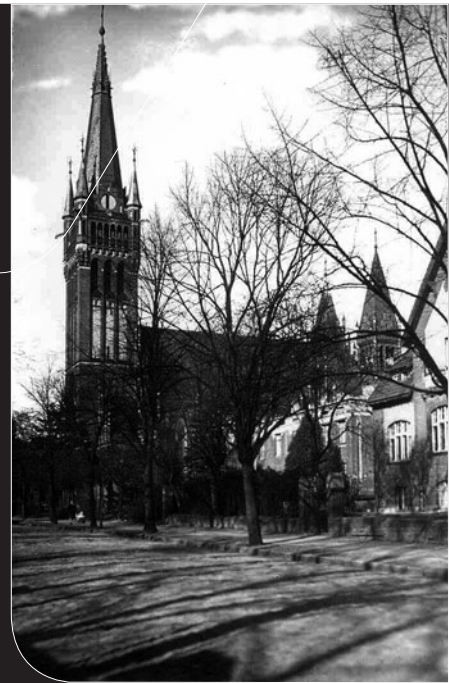
2011 r.

Gargulce z wieży kościoła Serca postanowiły rzucić wszystko i wyjechać. Tym razem stanowczo i definitywnie!

- Północny, ty lebiego, kupisz wreszcie ten przewodnik po regionie? Jak się jedzie do Wilczego Szańca?

- Niech ci opowie twój nietoperz!

- Rzygać, gargulce! Jak was proboszcz wywali, zatrudnicie się w Wilczym Szańcu!



Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie

10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI

www.aresztsztuki.republika.pl

Zespół redakcyjny: Sylwia Białecka, Iwona Bolińska-Walendzik, Anna Rau, Anita Romulewicz, Waldemar Tychek

e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Grafika i skład: Przemek Kozak; kozak@sonc.pl

Druk: SOC; info@sphereoncord.com

ISSN 2080-1483

Zrealizowano przy współudziale finansowym Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego



- 02  
Fotomonter XI
- 04  
Wywiad ze Zbigniewem Chojnowskim
- 07  
Proza → Zofia Zarębianka
- 08  
Panorama Poetycka  
→ Katarzyna Enerlich  
→ Mariola Platte  
→ Zbigniew Lomperta  
→ Andrzej Zubkowicz  
→ Andrzej Ballo
- 11  
Proza → Katarzyna Enerlich
- 12  
Poezja → Walt Whitman
- 14  
Proza → Konrad Sierzputowski
- 16-18  
Galeria VariArt-u  
ZPAP 100+
- 19  
Galeria EL
- 20  
Recenzja literacka
- 22  
Cittaslow na Warmii i Mazurach
- 24  
65 lat biblioteki w Morągu
- 25  
Recenzja literacka
- 26  
Podróż kolejką wąskotorową...
- 27  
Kino drogi i bezdroży
- 28  
Moździer i Komeda
- 29  
Koncerty Letnie zespołu  
„Pro Musica Antiqua”
- 30  
Szkice z obrazkiem
- 31  
Kanion lektur

*Jesteśmy w terenie. STOP.*  
*Wracamy w grudniu. STOP.*  
*Polecamy skrótem:*  
*Literatura. STOP.*  
*Elk. STOP.*  
*Cittaslow. STOP.*  
*Galerie. STOP.*  
*Morąg. STOP.*  
*Felietony. Recenzje. Relacje. STOP.*  
*Pamiętki. STOP.*  
*Czytajcie. STOP.*

Redakcja



# „Człowieka wyzwala sztuka, literatura, poezja, dyskusja o wartościach...”

Z pracownikiem Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, dr. hab. Zbigniewem Chojnowskim, prof. UWM, rozmawia Alicja Góralska

**A. G.:** Jako studentka III roku filologii polskiej Wydziału Humanistycznego spotykam się z Panem już drugi semestr na zajęciach z zagadnień kultury regionalnej. Widzę, że opowiada Pan o pisarzach warmińskich jak i mazurskich oraz ich twórczości z dużym zaangażowaniem, wprowadzając studentów w literaturę naszego regionu. Skąd u Pana zainteresowanie kulturą i literaturą regionalną?

**Z. Ch.:** Zajmowanie się literaturą powstałą na Warmii i Mazurach wynika poniekąd z tego, że urodziłem się na Mazurach, nad jeziorem Śniardwy. Lubilem przebywać w bibliotece i oprócz takich arcydzieł literatury światowej, jak np. *Podróże Guliwera* Jonathana Swifta czy *Cyberiada* Stanisława Lema, wpadały mi w ręce książki autorów regionalnych, np. Michała Kajki czy w ogóle utwory o tematyce regionalnej. Od dzieciństwa miałem świadomość istnienia tego grona pisarzy, poetów, ale są to fakty biograficzne, które można przypominać albo i nie. Chodzi tu o coś głębszego niż sentyment do pierwszych wrażeń czytelniczych czy pewnej fascynacji dziecięcej. Zajmowanie się literaturą regionalną – chociaż badam przede wszystkim literaturę w wymiarze ogólnopolskim – traktuję jako zobowiązanie literaturoznawcy, który pracuje na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim. To nie jest tak, że powinniśmy zajmować się tylko dziełami, o których mówi Polska i świat. Po co? Po to, aby ten fragment Polski i Europy był piękniejszy, lepiej urządzony i miał swoje znaki w kulturze. Tutaj również musi działać myśl, a przy tym trzeba wdrażać przekonanie, że na Warmii i Mazurach można się realizować, osiągać pełnię swoich możliwości intelektualnych, zawodowych, realizować swoje marzenia o własnej rodzinie. Chodzi o to, że zajmowanie się literaturą naszego regionu traktuję nie tylko jako posłannictwo, ale także jako sposób na budowanie w naszej przestrzeni lokalnej podmiotowości, a więc podstaw intelektualnych, duchowych do bycia wolnym. Człowieka wyzwala sztuka, literatura, poezja, dyskusja o wartościach. Uczestniczenie w kulturze pozwala nam przeżywać, mieć emocje, rozumieć siebie i bliźnich. Pragnę, aby ludzi i owoce ich życia oceniano według ich faktycznej wartości, a nie ze względu na to, skąd autor i jego dzieło pochodzą. „Geoaksjologia” z gruntu jest fałszywa. Można być z Olsztyna, ze Szczytna, z Gołdapi, z małej miejscowości, która jest nieznaną, i osiągać takie sukcesy, których mogą pozazdrościć ludzie z Nowego Jorku, Berlina czy Londynu. Mamy mnóstwo przykładów na to, że można być z prowincji i zaznaczyć swój ślad w kulturze i literaturze, dziejach myśli. Wspomnę Mikołaja Kopernika, Immanuela Kanta z Królewca czy pisarza niemieckiego

z Mazur, Ernsta Wiecherta. Istotą zajmowania się literaturą regionalną, a dokładniej tą z Warmii i Mazur, jest zadanie, żeby pokazać, że tu też jest kultura. Dawno temu powstał dwuwiersz, swego rodzaju przekleństwo czy obelga, którą Niemcy sformułowali wobec Mazurów: „Tam znajdziesz Mazurę, / gdzie kończy się kultura”. I dziś Warmia i Mazury są odbierane przez Polaków z innych regionów jako tereny dzikie, niemalże odludne, na których wolno robić właściwie wszystko, bo nikt tego nie widzi. Ludzie mają wyobrażenie nieucywilizowania tej ziemi, to jest oczywiście bolesne dla tutaj urodzonych i tych, którzy tu mieszkali wcześniej, przed 1945 rokiem. Pamiętajmy, że infrastruktura przemysłowa, drogi czy sieć kolei żelaznej były stosunkowo bardziej rozbudowane w Prusach Wschodnich (w obrębie dzisiejszych Warmii i Mazur) dawniej niż aktualnie. A zatem zajmowanie się literaturą danego regionu jest swego rodzaju próbą zahamowania tego, by pleniły się kompleksy społeczne i jednostkowe wynikające z pejoratywnego zaszufladkowania danego miejsca, regionu. Sprzeciwianie się jego prowincjonalizacji jest obowiązkiem...

Ludzie z Polski przyjeżdżają tu wypocząć, chcą pożyć w ciszy, chcą pomieszkać pięknie, jakby w dziczy. Można zapytać: czy oni są w stanie coś zrobić dla tego regionu, żeby tutejszym społecznościom żyło się lepiej, sensowniej. Boli i niepokoi to, że dużo młodych wyjeżdża z Warmii i Mazur. Nie znajdują tu bowiem pracy, nie widzą możliwości własnego rozwoju, nie znajdują warunków do tego, by tutaj budować swoją przyszłość. Traktuję więc to swoje skromne zajmowanie się literaturą powstałą na Warmii i Mazurach jako możliwość budowania atrakcyjności kulturowej naszej krainy rodzinnej.

**A. G.:** Jak łatwo można zauważyć, jest Pan ekspertem w tej dziedzinie i stara się Pan uwrażliwić studentów na tego typu twórczość. Mógłby Pan jasno określić, która twórczość autorów Warmii i Mazur jest Panu najbliższa? Jeśli jest takowa, to dlaczego akurat ta?

**Z. Ch.:** Mnie cieszy w każdej twórczości wewnętrzne bogactwo jej autora. Co prawda nie stworzono tu dzieł, o których można powiedzieć, że są arcydziełami. Niewątpliwie w literaturze z Warmii i Mazur znajdziemy na tyle rozmaite utwory, zwłaszcza wśród napisanych po 1989 roku, że można w nich przeglądać się, jak w różnych lustrach. Z jednej strony cenię Siegfrieda Lenza za powieść *Muzeum ziemi ojczystej* i zbiór opowiadań *Słodkie Sulejki*. Cenię również Ernsta Wiecherta za *Dzieci Jerominów*,

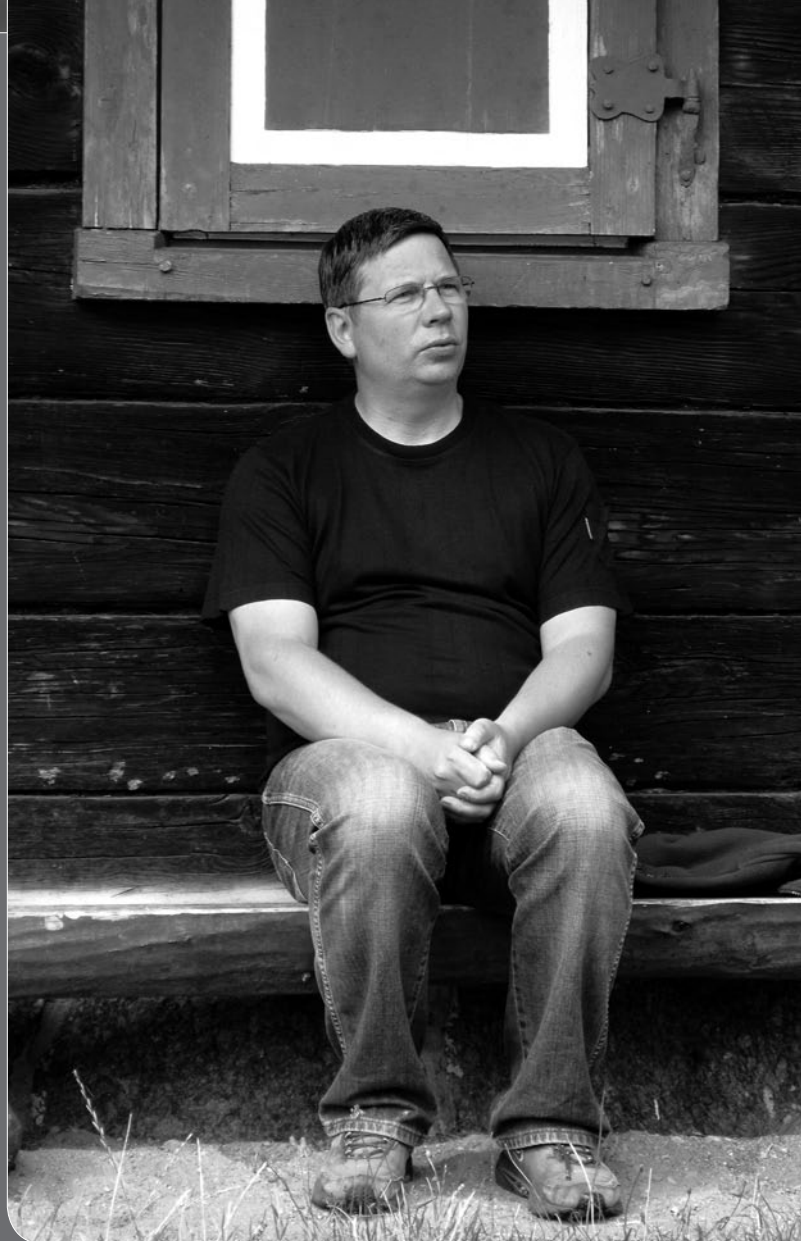


ale i inne powieści, chociażby *Missa sine Nomine*. Jeśli idzie o polskich pisarzy, to tutaj na pierwszym miejscu – chociaż literatura to nie sport – postawiłbym Erwina Kruka, z wielu powodów. Jego twórczość pokazuje, że szczególnie Mazury, a także i Warmia, to nie jest ziemia niemych. Nasza kraina zbyt rzadko wypowiadała się głosami ludzi tutaj mieszkających. Tak się złożyło, że życie tutaj było upolitycznione nie tylko w okresie Polski Ludowej, ludzie musieli się kryć ze swoją prawdziwą kulturą, ze swoim wyznaniem, ze swoją przynależnością językową czy rodzinną. Te rozmaite podziały wywołane polityką przechodziły wewnątrz rodzin.

Ale wracamy do literatury... Więc Erwin Kruk, niewątpliwie. A z młodszych pokoleń to Kazimierz Brakoniecki, Alicja Bykowska-Salczyńska, oni wykonali ciężką pracę literacko-duchową, żeby temat człowieka, życia na Warmii i Mazurach stał się tematem uniwersalnym, wcześniej robił to Kruk, uczynił to z perspektywy swojego wydziedziczenia, swoich doświadczeń powojennych, swojego położenia socjalnego i rodzinnego. Nazwisk poetów i pisarzy, które warto wymienić, jest oczywiście więcej. Bardzo cenię sobie cały powojenny nurt baśniowy, ma on swoje rodzime podglebie, wywodzi się z autentycznych przekazów, które zapamiętali Warmiaci i Mazurzy. Chodzi o literackie opracowania baśni Warmii i Mazur Maryny Okęckiej-Bromkowej, Jadwigi Tressenberg, Klemensa Oleksika, Tadeusza Stępowskiego, Ireny Kwintowej i innych.

**A. G.:** Wielokrotnie opowiadał Pan o nazywaniu ulic nazwiskami pisarzy regionalnych, na przykład dzielnica Olsztyna, Jaroty, ma ulicę Wiecherta. Co Pan o tym myśli? Czy jest to w jakimś stopniu metoda na zainteresowanie się mieszkańców danym autorem?


**Z. Ch.:** Tu wchodzimy w politykę. Wiadomo, że nazwa ulicy jest wyrazem woli politycznej. Sam tego doświadczyłem. Znalazłem się w grupie inicjatywnej, która zwróciła się do Rady Miasta Olsztyna, by nazwać jedną z ulic nazwiskiem Zbigniewa Herberta. Inicjatywa niestety spелzła na niczym. Zostały tylko komentarze, które są niezbyt przyjemne. Nadawanie imion i nazwisk ulicom, które kojarzą miasto z historią i kulturą regionu, nie do końca jest szczęśliwym posunięciem. Dlaczego? Dlatego, że patron powinien być znany. Jeśli nieznanymi regionalistami są patronami ulic, to nie budują wspólnoty, tworzą zaś – co jest paradoksalne – poczucie obcości. Nie znam osoby, postaci historycznej – nie jestem w stanie się z nią identyfikować. Oczywiście, dobrze, że nazwy ulic urozmaicają koloryt lokalny, są wyrazem pamięci osób, które rzeczywiście mają czasami wielkie zasługi dla regionu. Tylko jest jeden szkopuł: właśnie nie są to osoby znane. Sądzę, że trzeba o tym dyskutować, to jest problem edukacji regionalnej. Jak temu zaradzić? Trzeba się interesować światem, rozwijać ciekawość tego, co najbliższe, poznawać metafizykę miejsca (posługuję się kategorią, którą wymyśliliśmy w kręgu „Borussii” w latach dziewięćdziesiątych). W każdym razie w sprawie rodzimych patronów ulic nachodzą na siebie ambiwalentne myśli i odczucia.



W olsztyńskim skansenie; fot. Małgorzata Chojnowska

**A. G.:** Prowadzi Pan prace badawcze z zakresu historii poezji polskiej XX w., literatury Warmii i Mazur w XIX i XX w. oraz antropologii literatury. Wiem, że pracuje Pan nad wydaniem książki o Wiechercie. Na jakim jest Pan etapie badań i kiedy książka trafi na półki księgarń?

**Z. Ch.:** Książka nosi tytuł *Od biografii do recepcji. Ernst Wiechert, Konstanty Ildefons Gałczyński, Zbigniew Herbert na Warmii i Mazurach*. Pracowałem nad nią kilkanaście lat. Pierwsze fragmenty powstały w połowie lat dziewięćdziesiątych. Prace zdynamizowałem po 2003, który był Rokiem Gałczyńskiego. Książka ta definiuje przestrzeń kulturową Warmii i Mazur po 1945 roku do chwili obecnej. Jest to próba prześledzenia, jak ślady



i formy obecności fizycznej, biograficznej czy też symbolicznej odzwierciedliły się w przestrzeni społecznej i kulturowej naszego regionu. Większość dekad, które opisuję, dotyczą lat Polski Ludowej. Ustosunkowywanie się wobec biografii i twórczości Wiecherta, Gałczyńskiego, Herberta nie wynikało z inicjatywy oddolnej ludzi Warmii i Mazur, lecz stanowiło skutek impulsów przychodzących z zewnątrz, z Centrali. To, co podlegało upowszechnianiu, musiało mieć poparcie w kierowniczych gremiach Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, a także związanych z nią osób i instytucji. Przykładem zmanipulowania pamięci, mitu wygodnego dla władzy PRL jest „mazurska” legenda Gałczyńskiego. Ta legenda mówi o tym, że Gałczyński przybył na Mazury jako ofiara stalinizmu. W rzeczywistości był piewą stalinizmu! Mówił o sobie jako „polskim Majakovskim”. Pisał wiersze popierające jednoznacznie rząd Bolesława Bieruta sterowany przez komunistów z Moskwy. Legenda powoduje, że widzimy Gałczyńskiego w fałszywym zwierciadle. Z moich badań wynika, że Gałczyński nie wiedział o Mazurach nic lub prawie nic. A przecież w książkach naukowych i popularnych czytamy, że Gałczyński świetnie rozumiał, odczytywał, odbierał i udokumentował mazurski koloryt. Jak można udokumentować to, czego się nie zna? I wreszcie Herbert. Jest tu inną figurą. Mimo że poeta przybywał na Warmię i Mazury przez około piętnaście lat (z niekiedy długimi przerwami oczywiście), publikował w prasie olsztyńskiej pierwsze wersje swoich znanych i zapomnianych utworów, biograficzna i tekstowa jego obecność nie zmieniła się w legendę. Nikomu bowiem na tym nie zależało. Nie było politycznego czynnika sprawczego. Herbert chodził ulicami: Kościuszki, Zwycięstwa (obecnie Piłsudskiego), Smętka, przebywał na zamku w Reszlu, płynął kajakiem Krutynią. To są fakty być może zaskakujące, ponieważ Herbert kojarzy się z Morzem Śródziemnym, Grecją, Italią, Francją czy Luwrem. Umknęło to, że na powojennym etapie swego życia wybrał najpierw prowincję, spotkania z ludźmi na uboczu Centrali, szukał miejsc, w których można czuć się lepiej, bardziej autentycznie. Herbert był poetą i pisarzem, który nie zabiegał o promocję. W ogóle nie pasowałby do naszych czasów. Współcześnie „promocja”, „działania wizerunkowe” są dźwignią niemalże wszystkiego. Krótko mówiąc, w książce *Od biografii do recepcji* omawiam formy obecności trzech bardzo różnych autorów, którzy w jakiś sposób w mojej narracji się spotykają, mimo że na Warmii i Mazurach ani nigdzie indziej osobiście się nie kontaktowali.

**A. G.: Dużo Pan pisze, pojawiają się Pana eseje, recenzje i wiersze w lokalnej i regionalnej prasie. Pana wiersze tłumaczone są na inne języki. Skąd czerpie Pan natchnienie do pisania?**

**Z. Ch.:** Hmm... Skąd czerpię natchnienie? Natchnienie trudno zdefiniować. Pochodzę z miejscowości Nowe Guty, które leżą nad jeziorem Śniardwy. Moja pamięć często przenosi mnie w to piękne miejsce. W wyobraźni spaceruję po leśnych ścieżkach, wśród drzew, brzegiem jeziora. Może stamtąd przychodzi natchnienie, energia do tworzenia. Odczuwam przynależność do tego miejsca.

**A. G.: Czyli rodzaj „małych ojczyzn”?**

**Z. Ch.:** Tak. Staram się pisać, zawierając w swoich wierszach kawałek historii swoich miejsc. Spacerując, oglądam otaczający mnie świat, który skłania mnie do intensywniejszej samoświadomości istnienia. Staram się, aby moje teksty dialogowały wewnątrz i na zewnątrz. Pisanie to tylko do pewnego stopnia wyrażenie siebie, swoich poglądów. Wiersz, jak i wszelki odpowiedzialny zapis, jest wyjściem z siebie, by porozmawiać z sobą i z głosami żywych oraz umarłych.

**A. G.: Już od dłuższego czasu prowadzi Pan zajęcia na UWM. Ma Pan na pewno spostrzeżenia dotyczące studentów filologii polskiej. Jak ocenia Pan współczesnych żaków?**

**Z. Ch.:** Tak, już bardzo długo, bez mała trzydzieści lat prowadzę zajęcia ze studentami. O studentach staram się myśleć pozytywnie, choć czasami pojawiają się te mniej miłe spostrzeżenia... Martwi mnie, że studenci mało czytają, nie są emocjonalnie czy ideowo zaangażowani w poznawanie literatury. Nie oceniam wszystkich, pojawiają się wyjątki, są studenci i studentki, którzy swoją wiedzę poszerzają i zgłębiają z pasją. Wierzę, że moje zajęcia, jak i innych wykładowców, rozbudzają w młodych ludziach ciekawość świata, rozwijają wrażliwość, podtrzymują radość czytania literatury.

**A. G.: Marzył Pan kiedyś o pracy nauczyciela akademickiego? Czy to trudne wyzwanie?**

**Z. Ch.:** Jest to wyzwanie, z którym się zmagam każdego dnia. Praca ze studentami jest ciekawa, czasami pełna niespodzianek. Cieszę się, że pracuję z ludźmi dorosłymi, którzy wiedzą, czego chcą od życia, a przynajmniej mają idealistyczne nastawienie do świata. Staram się w sposób precyzyjny wyjaśniać żakom zagadnienia literackie w kontekstach skomplikowanej dynamiki istnienia jednostkowego i zbiorowego. Zdaję sobie sprawę, że czasami może za dużo mówię i nie daję studentom dojść do głosu (śmiech). Wynika to z chęci przekazania im wiedzy literackiej, która przychodzi z wiekiem.

**A. G.: Odchodząc już od tematu naukowego, zapytam na koniec, czym zajmuje się Pan w wolnym czasie, z dala od uczelni, czym się Pan interesuje?**

**Z. Ch.:** Jak już wspominałem, bardzo lubię spacerować po lesie. Nabieram tu sił do życia. W ostatnim czasie powiększyła mi się rodzina, więc staram się więcej czasu poświęcać domowi. Po powrocie z Uczelni żartuję, mówiąc żonie, że wróciłem z pracy do pracy (śmiech). W domu mam swoje książki, notatki, archiwum, biurko, komputer, pióra, długopisy, ołówki. Rozmyślam – czytam, piszę, studiuje, analizuję. Wciąż się uczę. Lubię podróże po okolicach bliższych i dalszych. Marzy mi się wycieczka do krajów skandynawskich, choć trochę przeraża mnie więcej stamtąd chłód (śmiech).

**A. G.: Dziękuję bardzo za udzielenie wywiadu. Życzę miłego dnia.**

*Rozmowę przeprowadzono wiosną 2011 r.*

# Zofia Zarębianka



p o e z j a

Wioletta Jaszkowska, Olsztyn, 2009, akryl na płótnie, 130x180

x x x

Dotyk batystu  
W drobne niebieskie kwiatki  
Przezroczystość zamglona  
Poza którą  
Wspomnienie miasta  
Za lasami  
Za granicami  
Daleko  
Z fasadami koronkowymi  
Misterność  
Ucieleśniona w cegle  
I tamta bluzka  
Z Zachodu  
Muśnięcie lepszego  
Świata  
muślin rozdarty

x x x

Wysoka dolina o zmierzchu  
cichnie  
W długich cieniach zieleni  
Kapliczka  
niknie  
Wiatr ciepły idzie od gór  
Jakby to nie był  
Początek końca  
Wakacji  
A może a może  
Świata  
Nad polem koniczyzny  
Późny bielinek  
Beztrasko  
lata

x x x

Margerette Bulitta  
pamięci niczyjej  
zapomnianej pamięci  
pod krzyżem  
rdzewiejącym  
pochylony nagrobek  
na urągowisku historii  
bezwzględnej  
dla zmian  
granic i języków  
więc  
Margerette Bulitta  
Spoczywa  
Czy piękna była  
gdy się żołdatu nadała  
krasawica  
krasnoarmiejcu  
ot młodziec  
gieroj  
giermanskoju sobaku  
sobie wziął  
gieroj  
Margerette Bulitta  
zhańbiona  
Margerette Bulitta  
spoczywa

x x x

*Dla Stasia*

Dedykuję Ci łąkę  
Zachwytu  
Pełną i pasących się  
Kóz  
Gęstwę zieleni  
I na miedzy  
Oborny zapach  
Siana  
I dostojnych krów



Zofia Zarębianka, poetka, eseistka, krytyk literacki, profesor tytularny w zakresie literaturoznawstwa, członkini Komisji Historycznoliterackiej PAN, członkini Pen Clubu oraz Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Autorka pracuje w Katedrze Literatury XX wieku na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Stale współpracuje z miesięcznikiem literackim „Topos” oraz z kwartalnikiem „Życie duchowe”.

Od wielu lat odwiedza Warmię i Mazury. W „VariArcie” prezentujemy wiersze inspirowane historią Olsztyna.

**Katarzyna Enerlich (Mrągowo)****taktomierząc myśli**

wyrabiam się z życiem  
ledwo  
na zakrętach

mechaniczne konie ważnych spraw  
popędzają mnie cichym rzeniem

dopiero wieczorem  
rozpalam ogień  
gram gwiazdom  
grzebieniową etiudę

łagodnym metronomem wiersza  
wytykam im taktownie  
życiowe nietakty

na schadzce z księżycem  
niebiałe myśli  
biją się  
z białą sukienką

nie zostanę w niej jednak  
na dłużej

wkręci mi się w zakręt

**Mariola Platte (Ostróda)****Jestem naga**

*Dla Wiesi P.*

Moja przyjaciółka mawia  
Bez umalowanych paznokci  
I kropli dobrych perfum  
Jestem naga  
I jest mi zimno

Było mi zimno  
Więc umalowałam paznokcie  
Przeszłam przez obłok jaśminu  
Wstąpiłam na tron czerwonych szpilek  
I stoję przed lustrem  
Jestem naga  
Jest mi zimno...

Moja przyjaciółka mawia  
Kobieta w pewnym wieku  
Powinna leżeć i pachnieć

Ułożyłam moje nadzieje  
Do snu  
Przykryłam spragnione ciało  
Wełnianą pościelą  
Rozłożyłam na białym prześcieradle  
Całe życie  
Próbując wygładzić uporczywe fałdki  
Leżę  
Na obu łopatkach  
Jestem naga  
Jest mi zimno  
Ale świat  
Mimo wszystko pachnie  
Wokół mnie

*(9 października 2009 r.)*





## Zdzisław Lomperta (Szczytno)

### Czekanie ciszy

Na korytarzu czeka cisza  
 I nadzieja w białym fartuchu  
 Przed zielonymi drzwiami  
 Gdy poranek był biały  
 Otwarty nocą czekał  
 Zapomnienia wszystkie czekały  
 Czekala cierpliwość patynowa  
 Czekalo złote światło w fotelu  
 I ciepły uścisk mojej ręki  
 Na przywitanie ciągłych odejść  
 Zabieranych przez dziurawy czas  
 Bez pocałunku

Czekanie się rozgląda

## Andrzej Zubkowicz (Węgorzewo)

### Nasz Morąg

mieszkaliśmy w Morągu  
 na ulicy Kościelnej  
 w centrum wszechświata

pałac Dohnów w ruinie  
 kościół Piotra i Pawła  
 zamek ratusz fosa  
 otaczały rozmowy pierwsze

w telewizji Pancerni  
 chodziliśmy do kina  
 gdzie Nszoczi  
 umierała bez sensu

śmierć była  
 zdarzeniem z ekranu  
 po podwórku zawsze  
 toczyła się piłka

na ławce przed sądem  
 brzmiała gitara  
 Seweryn z płyty  
 śpiewał o miłości

dziewczyny krążyły  
 po obcej orbicie  
 na którą przez lupę  
 zerkaliśmy czasem  
 grzech  
 jeśli istniał  
 miał smak jabłka  
 w przykościelnym ogrodzie



## Andrzej Ballo (Lidzbark Warmiński)

x x x

obrzydły mi słowa  
nawet niewyspane

pomilczę

posprzątam pejzaże

tędy najbliżej  
do Ciebie

x x x

przed wierszem  
zamiast motta  
ważę  
kilogram więcej

piszę na wydechu  
stąd brak przecinków

biore przymiotnikowy rozbieg  
i miotam jak oszczepem

czasami rykoszetem  
trafiam  
w publiczność

poezją



Katarzyna Enerlich

# Zaklinanie nieobyczajowe

Marek stał i czekał, z kwiatami, a jakże, chciał być elegancki. Zauważyłam na jego twarzy lekkie rozczarowanie, może moim wyglądem, prostym i mało wyszukany, może moim lekko przygarbionym chodem, a może brakiem czarującego uśmiechu. Marek natomiast był jak z żurnala. Wysoki, przystojny, miał dość szczupłe dłonie, co zauważyłam, gdy wręczał mi kwiaty. Sprawiał wrażenie silnego, statecznego mężczyzny, dla którego czas okazał się łaskawy. Ubrany w niesamowicie męskie płócienne spodnie i taką samą koszulę, luźną i z pozoru tylko niedbałą, ale widać było, że z materiału przedniego gatunku i z wysokiej półki jakiegoś sklepu w miejskiej galerii.

- Witaj, moja szkolna koleżanko! – przywitał mnie niezwykle serdecznie. Rozczarowanie już zniknęło, w jego oczach zauważyłam żywe zainteresowanie, być może obudzone słowami o szkolnej koleżance. Pewnie powróciły do niego wspomnienia, bo do mnie powróciły i już wiedziałam, jak to jest, bo odpowiedziałam:

- Witaj, mój szkolny kolego!

Ucisnęliśmy się serdecznie i ciepło, poczułam nieznaną mi dotąd zapach ciężkawej, męskiej wody, którą szybko nasiąkły moje włosy. Poszliśmy do jakiegoś małego lokalu, nawet nie pamiętam jego nazwy. Zamówiłam sałatkę szopską, Marek wybrał zupę rybną. Potem zdecydowaliśmy się na posiedzenie przy piwie. Zwyczajnie. Na pierwszy ogień poszły wspomnienia, te licealne i najmiłsze. Potem opowiadaliśmy o swoim obecnym życiu, ale już nie tak chętnie. Marek cały czas mówił o swojej pracy, która jest dla niego nie tylko źródłem sporych dochodów, ale przede wszystkim satysfakcji. Ja mówiłam o wydawnictwie i drukarni, cały czas najchętniej powracając jednak do lat szkolnych, gdy jeszcze byłam panią od polskiego.

- Tak jakoś wyszło, że musiałam uciec przed własnym życiem – powiedziałam mu i nagle pękło we mnie jakieś przyczajenie i wezbrana przez lata nieufność wobec świata, a głównie mężczyzn.

Opowiedziałam historię, którą do tej pory skrywałam w sobie głęboko, nie dzieląc się nią z nikim przez tyle lat! Wystuchał z uwagą, patrząc tymi bursztynowymi oczami, które kiedyś pochyliły się nade mną, gdy pierwszy raz w życiu moje ciało otwierało się na mężczyznę. Myślałam o tym, robiło mi się gorąco i nie potrafiłam się opanować:

- Wciąż masz takie bursztynowe oczy, jak dawniej.

Marek popatrzył na mnie z uwagą, z ciepłym zainteresowaniem, jakby chciał się zapytać: a skąd u ciebie nagle takie myśli?

- Pamiętasz... byliśmy wtedy przyjaciółmi...

Słowo „przyjaciółmi” precedził jakby przez sito emocji, starał się powiedzieć je w miarę obojętnie, jednak nie udało mu się, głos i tak zadrział, i zakotłosał się nieśmiało.

- No, tak, byliśmy... Miło cię spotkać po latach, szczęśliwego. Zazdroszczę ci twego życiowego entuzjazmu, radości, energii, jaką widać po tobie. Ja nie mam takiego życia.

Zmieniłam temat, bo nie chciałam poddać się tamtej chwili, tym wspomnieniom. Lepiej nie, lepiej nie, dystans, bez tego niepotrzebnego drżenia w głosie.

Niepotrzebnie się z nim spotkałam, teraz wiedziałam to na pewno, nie powinnam, bo za dużo wraca, nie radzę sobie sama ze sobą, obciążona swoją samotnością jak sznurkiem. Przypomniało mi się nagle, że zabrałam ze sobą album ze zdjęciami.

Minipowieść w odcinkach

- Popatrz, co mam – powiedziałam, podając mu brązowy tom.

Patrzyłam na jego twarz, gdy dawne wspomnienia zaczęły powracać do Marka z szybkością błyskawicy. Napędzwały je białe-czarne prostokąty włożone do foliowych okładek. Drgały mu policzki, ręce, widziałam, że myśli o czymś. Z Markiem nad jeziorem, w ogrodzie u jego rodziców, na wykopkach szkolnych, na zbieraniu kamieni w jakimś pegeerze, na pochodzie pierwszomajowym. Oglądał. Cieszył się jak dziecko. I powiedział:

- Wracasz często do wspomnień. Czyli jesteś samotna?

- Tak. Jestem. Ale już się pogodziłam z tym. Nie uwierzę już tak łatwo mężczyźnie.

- I nie byłeś z nikim przez tyle lat?

- Nie czułam takiej potrzeby. Wciąż mnie to boli, choć już nie tak, jak dawniej.

- Przecież jesteś jeszcze młoda. Ułożyłabyś sobie życie.

- Nie wiem, czy to realne.

- Musisz w to wierzyć!

- Jasne. A Ty jesteś szczęśliwy, prawda?...

- Jestem samotny, jak ty.

Wzięłam to za dobrą monetę, choć zastanawiało mnie to, jak taki mężczyzna może być samotny. Ja zdecydowałam o samotności z braku innego wyjścia, ale on... Nie musi wcale być samotny, to pewne. Nie mogłam dłużej zostać, bo poddawałam się obcym mi uczuciom, nie wiedziałam, dlaczego tak się dzieje, ale po tylu latach obudziła się we mnie potrzeba bliskości z tym mężczyzną i to poczucie mogło okazać się zgubne.

- Muszę iść, do zobaczenia.

Wyszłam. Warszawa tętniła życiem, nikt nie zauważył, że wyszłam roztargniona, zaróżowiona od emocji. Pójdę pieszo, żeby ochłodzić. Marek dogonił mnie niemal natychmiast.

- Joanno, poczekaj, nie odchodź jeszcze!

Odwrociłam się i popatrzyłam, jak biegnie, im był bliżej, tym biegł wolniej.

- Jesteśmy jak dwoje samotnych w wielkim mieście. Nasze samotności nareszcie spotkały się i teraz od nas zależy, co z tym zrobimy – wyrzucił z siebie Marek, zabierając mi tymi słowami resztki złudzeń, że możemy się rozstać tylko jak dawni znajomi. Wziął mnie za rękę i powiedział, że odprowadzi mnie do domu, jeśli będę chciała. Chciałam, bo był taki piękny, ładnie pachniał, mówił, szedł. Było obok mnie, trochę przytłumionej wielkim miastem, zagubionej, przeciętnie ubranej. Chyba wyczytał w moich myślach:

- Wciąż wyglądasz jak licealistka. Masz nawet te same włosy. Lubilem w nie wplątywać moje palce, pamiętasz?...

Pamiętałam. I powiedziałam, że nie wrócimy do tego, co było w liceum, bo dwa razy nie wchodzi się do tej samej rzeki. Posmutniał. Odprowadził mnie wtedy pod same drzwi. Moja klatka schodowa na Nowolipiu nie była niczym szczególnym. Ot, zwykła klatka w warszawskiej dzielnicy. Ale przyjazny pocałunek, jakim mnie obdarzył pod koniec w tej klatce, sprawił, że to miejsce stało się dla mnie ciepłym wspomnieniem. Nawet, jak przekraczałam ją potem wielokrotnie, idąc w kierunku śmietnika.

cdn





# Walt Whitman

w przekładzie Krzysztofa D. Szatravskiego

Poeta i wizjoner, entuzjasta postępu i wrażliwy komentator rodzącej się nowoczesności – Walt Whitman (1819-1892) był jednym z największych poetów amerykańskich. Często określany mianem „ojca wolnego wiersza”, łączył filozoficzny transcendentalizm z literackim realizmem. Główne dzieło poety to ponad 400-stronicowy zbiór wierszy i poematów *Leaves of Grass* (*Żdźbła trawy*), który w kolejnych wydaniach poprawiał i uzupełniał. Najważniejsze teksty z tego zbioru tłumaczono wielokrotnie, podczas gdy znaczna część pozostaje poza zasięgiem polskiego czytelnika.

## DUMNA MUZYKO BURZY

1.

Dumna muzyko burzy,  
Podmuchu, co niesiesz się wolny, gwizdząc poprzez prerie,  
Mężny pomruku leśnych wierzchołków – górski wietrze,  
Uosobienie mglistych zarysów – tyś orkiestry ukryte,  
Ty serenady przywidzeń, gdy instrumenty wzniesione,  
Mieszając z rytmem Natury wszystkie języki narodów;  
Tyś akordy pozostawione przez legion kompozytorów – tyś chóry,  
Ty nieokreślone, swobodne, religijne tańce – tyś ze Wschodu,  
Pólszeptem rzek, grzmotem spadających katarakt,  
Tyś dźwiękiem odległych strzelb i galopem kawalerii,  
Echem obozów z wszystkimi sygnałami trąbki,  
Formując zgiełk, wypełniając sobą późną noc, przytłaczając mnie bezsilnego,  
Wchodząc do mojej odludnej sypialni, czemuś mnie zniewoliła?

2.

O duszo moja, wystąp, a reszcie pozwól spocząć,  
Słuchaj, nie przeocz, że to ku tobie zmierzają,  
Dzieląc północ, wkraczając do mej sypialni,  
Tobie śpiewają i tańczą, O duszo.

Pieśń świąteczna,  
Duet pana i panny młodej, marsz weselny,  
Z ustami miłością i sercami kochanków wypełnionymi po brzegi miłością,  
Zaróżowione policzki i perfumy, przyjaznych twarzy młodych i starych rojny orszak pełen,  
Wokół fletów czystych dźwięków i *cantabile* harf brzmiących.

Teraz głośnie zbliżają się bębny,  
Victoria! widziałaś w armatnim dymie sztandary rozdarte, jak wciąż łopoczą? pogrom rozbitych szeregów?  
Słyszałaś okrzyki zwycięskiej armii?

(Ach duszo, łkania kobiet, ranni jęczący w agonii,  
Syk i trzask płomieni, poczerńnięte ruiny, żarzące się węgle miasta,  
Lament i spustoszenie ludzkiego rodzaju.)

Teraz wypełniają mnie arie antyku i średniowiecza,  
Widzę i słyszę dawnych harfistów z ich harfami podczas świąt walijskich,  
Słyszę minnesingerów śpiewających miłosne ballady,  
Słyszę minstreli, pieśniarzy, trubadurów średniowiecza.

Wioletta Jaskólska, *Ludzbark Warmiński, 2001, akryl na płótnie, 135x190*



Teraz dźwięki wielkich organów,  
Drżące, gdzieś w dole, (jak niewidoczna opoka ziemi,  
Na której powstaje reszta, od której zależy rozwój,  
Wszelkie kształty piękna, wdzięku i mocy, wszelkie znane nam barwy,  
Zielone ostrza traw i śpiewające ptaki, bawiące się i grające dzieci, obłoki na niebie wysokim,)  
Mocna podstawa trwa, nieprzerwana jest jej pulsacja,  
Zalewając, podtrzymując, łącząc całą resztę, wydając na świat całą resztę,  
I z nią wszystkie instrumenty w gromadzie,  
Grajkowie grają, całego świata muzycy,  
Uroczyste hymny i msze wznoszą uwielbienie,  
Wszystkie namiętne serca chorały, smutne przemowy,  
Niezmiernie słodcy śpiewacy wieków,  
I z nimi zestrojony ziemi własny rejestr,  
Wiatrów i lasów, i potężnych fal oceanu,  
Na nowo zestawiona orkiestra, spoiwo lat i klimatów, dziesięciokrotny odrodzenia sprawca,  
Jak to w dawno minionych czasach nazywali poeci, *Paradiso*,  
Przybysz z daleka, po długim rozstaniu, lecz teraz wędrówki koniec,  
Podróż dobiegła kresu, podróżny już w domu,  
Człowiek i sztuka z Naturą znów złączeni.

*Tutti!* na ziemię i niebiosą;  
(Wszchemogący dyrygent na raz wskazał batutą.)

Dzielna strofa mężów tego świata,  
A wszystkie żony odpowiadają.

Języki skrzypiec,  
(Myślą, O języki, wy mówicie za serce, co nie potrafi mówić za siebie,  
To zamyślane gawędzące serce, co nie potrafi mówić za siebie.)

### 3.

Ach, od małego dziecka,  
Ty wiedziałas, duszo, jak dla mnie wszystkie dźwięki stają się muzyką,  
Głos mojej matki w kołysance lub hymnie,  
(Ten głos, O czule głosy, ukochane głosy pamięci,  
Ostatni ze wszystkich cudów, O najdroższe głosy matki, siostry;)  
Deszcz, rosnące zboże, podmuch wiatru pośród długolistnych zbóż,  
Miarowe morskie fale przybrzeżne uderzające o piasek,  
Świergocący ptak, jastrzębia ostry krzyk,  
Dzikiego ptactwa nocne tony, gdy przelatują nisko w drodze na północ lub południe,  
Psalm w wiejskim kościele lub pośród drzew rosnących w kępach, zbiórka obozowa w otwartej przestrzeni,  
Skrzypek w tawernie, pieśń na głosy, długo ciągnąca się pieśń żeglarzy,  
Ryczące bydło, beczące owce, piejący kogut o świcie.

Wszystkie pieśni obecnych krain przychodzą, brzmiać wokół mnie,  
Niemieckie arie o przyjaźni, winie i miłości,  
Irlandzkie ballady, radosne gigi i tańce, angielskie tryle,  
Francuskie chanson, melodie Szkocji, a ponad tym wszystkim  
Italii niezrównane kompozycje.

Poprzez scenę z twarzą pobladłą, z okropną już pasją,  
Kroczy Norma, potrząsając sztyletem w dłoni.

Widzę nieszczęsne szalone oczy Łucji nienaturalnie błyszczące,  
Jej włosy opadają na plecach niezwiązane i zaniedbane.



Widzę, jak Ernani, przechadzając się po weselnym ogrodzie,  
Pośród zapachu nocnych róż, promienny, trzymając swą lubą za rękę,  
Słyszysz piekielne wezwanie, przysiężonej śmierci żąda róg.

Krzyżujące się szpady i siwe odsłonięte przed niebiosami włosy,  
Jasna zasada elektryczności i baryton świata,  
Duet puzonów, Wolność na wieki!

Z gęstego cienia hiszpańskich kasztanowców,  
Przez stare i ciężkie mury klasztoru żałośnie pieśń rozbrzmiewa,  
Pieśń utraconej miłości, pochodnia młodości i życia stłumionego w rozpacz,  
Pieśń umierającego łabędzia, pęka serce Fernanda.

Budząc się ze swego nieszczęścia, wreszcie odzyskana Amina śpiewa,  
Obfite jak gwiazdy i szczęśliwe jak światło poranka potoki jej radości.

(Nadchodzi pani obfitości,  
błyszcząca pośród gwiazd, kontralt Wenus, kwitnąca matka,  
Siostra najwyższych bogów, słyszysz Alboni we własnej osobie.)

4.

Słyszysz te ody, symfonie, opery,  
Słyszysz w *Wilhelmie Tellu* muzykę podburzonych i rozgniewanych ludzi,  
Słyszysz Meyerbeera *Hugenotów*, *Proroka* lub *Roberta*,  
*Fausta* Gounoda albo *Don Juana* Mozarta.

Słyszysz muzykę taneczną wszystkich narodów,  
Walc, jakież wyśmienite metrum, płynne, zanurzające mnie w błogości,  
Bolero dla rozdzwonionych gitar i terkoczących kastanietów.

Widzę stare i nowe tańce religijne,  
Słyszysz dźwięk hebrajskiej liry,  
Widzę krzyżowców w marszu dźwigających krzyż wysoko, ku wojowniczym dźwiękom talerzy,  
Słyszysz derwiszów śpiew monotonny i szalone okrzyki, gdy wirując wokół własnej osi, wciąż zwracają się ku Mekce,  
Widzę wzniosłe religijne tańce Persów i Arabów,  
I znów, w Eleusis, domu Ceres, widzę tańczących nowoczesnych Greków,  
Słyszysz, jak klaszczą w dłonie, gdy pochylają swe ciała,  
Słyszysz miarowe szuranie ich stóp.

I znów widzę dziki stary taniec korybantów, wykonawcy ranią się nawzajem,  
Widzę młodzieńców Rzymu przy ostrych dźwiękach fłażoletów podrzucających i chwytających swą broń,  
Jak upadają na kolana i powstają znów.

Słyszysz z muzułmańskiego meczetu wołanie muezina,  
Widzę wewnątrz wyznawców, ani ustawianych, ani pouczanych, ani przekonywanych choćby słowem,  
Lecz milczących, niezwykłych, pobożnych, uwznioślonych, żarliwe głowy, ekstatyczne twarze.

Słyszysz egipską harfę o wielu strunach,  
Prymitywne pieśni przewoźników znad Nilu,  
Święte hymny cesarskich Chin,  
Po subtelne dźwięki króla (dotknięte drewno i kamień),  
Albo po hinduskie flety i niepokojące brzdąkanie winy,  
Zespół bajader.

Wioletta Jaskólska, Lizardbark Warmiński, 2001, akryl na płótnie, 135x190





## 5.

Teraz Azja, Afryka opuszczają mnie, wypełnia mnie władanie Europy,  
 Organy ogromne i orkiestry słyszę jak głosy rozległych zgromadzeń,  
 Potężny hymn Lutra *Eine feste Burg ist unser Gott*,  
*Stabat Mater dolorosa* Rossiniego,  
 Albo płynące gdzieś w wysokim półmroku katedry ze wspnianiałymi barwami okien,  
 żarliwe *Agnus Dei* lub *Gloria in Excelsis*.

Kompozytorzy! Wielcy mistrzowie!  
 I wy, śpiewacy o słodkich głosach starych krajów, soprań, tenory, basy!  
 Do was nowy wieszcz kolęduje na zachodzie,  
 Hołdownik składa swą miłość.

(Jakież to przewodnictwo dla ciebie, O duszo,  
 Wszelkie znaczenia, przedstawienia i wyobrażenia wiodą ku tobie,  
 Lecz teraz zdaje mi się, dźwięk przewodzi wszystkim.)

Słyszę doroczne śpiewy dzieci w katedrze św. Pawła,  
 Albo, pod wysokim sklepieniem jakiejś ogromnej sali symfonie, oratoria Beethovena, Haendla lub Haydna,  
*Stworzenie świata* w falach boskości obmywa mnie.

Pozwól mi zatrzymać wszystkie dźwięki (szaleńczo zmagając się, płacząc,)  
 Wypełnij mnie wszystkimi głosami wszechświata,  
 obdarz mnie ich drgnieniami, także Natury,  
 nawałnic, wód, wiatrów, oper i chorałów, marszy i tańców,  
 Wyraź, niech spłyną nawałnicą, bym mógł przyjąć je wszystkie.

## 6.

Wówczas lekko przebudzony,  
 Z wahaniem, wąpiąc przez chwilę w muzykę mego snu,  
 Sondując wszystkie wspomnienia, burzę z jej gwałtownością,  
 I wszystkie pieśni sopranów i tenorów,  
 I wzniosłe tańce wschodnie tak żarliwe w religijności,  
 I rozkosznie różne instrumenty, i rejestr organów,  
 I wszystkie szczerze lamenty miłości, i klęski, i śmierci,  
 Rzekłem swej cichej osobliwej duszy, by wyszła z łóżka w sypialni,  
 Pójdź, gdyż znalazłem klucz, którego szukałem od dawna,  
 Chodźmy przed siebie odświeżeni w środku dnia,  
 Pogodnie podsumowując życie, krocząc przez świat, przez rzeczywistość,  
 Karmieni od tej pory naszym niebiańskim marzeniem.

I powiedziałem, ponadto,  
 Przypadkiem coś usłyszała, O duszo, nie było szmerem wiatrów,  
 Ani snem szalejącej burzy, ani trzepocącymi skrzydłami morskiego jastrzębia, ani chrapliwym krzykiem,  
 Ani śpiewnością błyszczących w słońcu Włoch,  
 Ani niemieckich organów majestatem, ani głosami rozległych zgromadzeń, ani warstwami harmonii,  
 Ani strofami mężów i żon, ani odgłosem maszerujących żołnierzy,  
 Ani fletami, ani harfami, ani sygnałami trąbek z obozów,  
 Lecz do nowego rytmu dopasowanego do ciebie,  
 Poematem przerzucającym most pomiędzy życiem i śmiercią, niezdecydowanie unoszącym się w powietrzu nocy, nieuchwytnym,  
 niewyraźnym,  
 Który pozwala nam kroczyć wprost w jasny dzień i pisać.



# Książka – obiekt

„Książka – obiekt” powstała w czasie trwania Przeglądu Wydawnictw Regionalnych MojeTwojeNasze 2011. Do stworzenia tego dzieła zostali zaproszeni olsztyńscy artyści, których zadaniem było zrobienie ilustracji do dzieł: Adama Mickiewicza, Witolda Gombrowicza, Stanisława Wyspiańskiego, Wisławy Szymborskiej, Jana Kasprowicza, Czesława Miłosza.

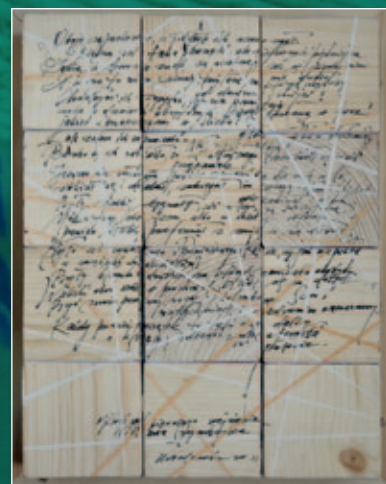
Koordynator Przeglądu – Magdalena Strzyż



Julita Wiench  
– Witold Gombrowicz Ferdynand



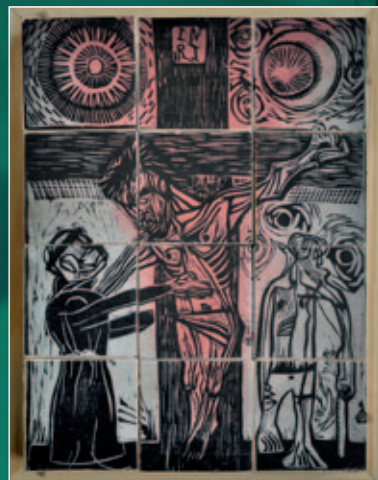
Robert Listwan  
– Stanisław Wyspiański Wesele



Zbigniew Urbalewicz  
– Wisława Szymborska Mitość od pierwszego wejżenia



Tadeusz Brzeski  
– Adama Mickiewicza Ballady i romanse



Aleksander Woźniak  
– Jan Kasprowicz Hymny

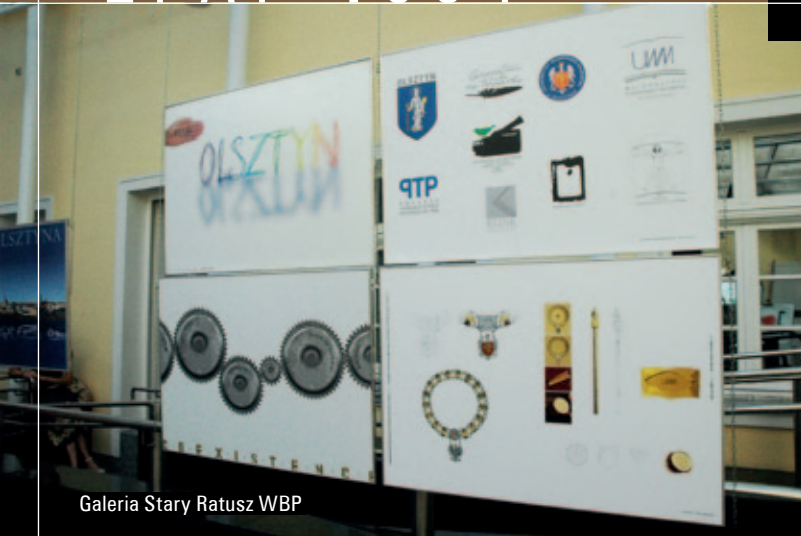


Iwona Bolińska-Walendzik  
(pomysłodawca i współrealizator „Książki – obiektu”)  
– Czesław Miłosz Dolina Issy





# ZPAP 100+



Galeria Stary Ratusz WBP



Galeria Stary Ratusz WBP



Galeria Stary Ratusz WBP

5 sierpnia 2011 r. otwarto w Olsztynie cztery wystawy z cyklu „ZPAP 100+”. W Galerii Stary Ratusz WBP wyeksponowano pod nazwą „ZPAP 100+ Grafika użytkowa” m.in. plakaty i znaki firmowe zaprojektowane przez Piotra Dondajewskiego, Jana Gudelisa, Krzysztofa Janickiego, Piotra Obarka i Leszka Sokolla. W galeriach MOK prezentowano:

- w Galerii Rynek wystawę „ZPAP 100+ Grafika warsztatowa i rysunek” z pracami Wiesława Biekuńskiego, Violetty Kulikowskiej-Parkasiewicz, Weroniki Tadaż-Królikiewicz, Małgorzaty Bojarskiej-Waszczuk, Adama Kurlowicza i Mai Baranowskiej;

- w Galerii Spichlerz ekspozycję „Julita Wiench – rysunek”;

- w Galerii Amfilada wystawę „ZPAP 100+ – Malarstwo” z pracami Piotra Dondajewskiego, Izabelli Janiszewskiej-Obarek, Izy Jaśniewskiej, Małgorzaty Kadelskiej, Barbary Kucharskiej, Weroniki Tadaż-Królikiewicz, Leszka Sokolla i Renaty Ziemińskiej-Prabuckiej;

Pod wspólnym tytułem „ZPAP 100+” otwarto też wystawy w Mrągowie (Centrum Kultury i Turystyki), Warszawie (galeria Elektor, Mazowieckie Centrum Kultury i Sztuki, „Warmiński anons”), Nidzicy, Kętrzynie, Elku, Goldapi, Elblągu, Olsztynku, Ostrołęce oraz w Ciechanowie.

Projekt wspierany jest przez Urząd Miasta w Olsztynie i Urząd Marszałkowski Województwa Warmińsko-Mazurskiego.

Koordynator projektu: wiceprezes OO ZPAP, Leszek Sokoll

Organizator: Związek Polskich Artystów Plastyków Okręg Olsztyński



Galeria Rynek MOK



Galeria Rynek MOK



Galeria Spichlerz MOK



Galeria Amfilada MOK



Przed stu laty, 15 marca, Cesarsko-Królewskie Namiestnictwo we Lwowie zatwierdziło statut „Związku Powszechnego Artystów Polskich”. Organizatorami byli bracia Zbigniew i Andrzej Pronaszko, Tytus Czyżewski oraz wybitny humanista, artysta i świetny organizator, Leon Kowalski. Związek powstał w zaborze austriackim, gdzie zachowaliśmy autonomię narodową. Prócz dbałości o status sztuki celem stowarzyszenia było rozwiązywanie problemów bytowych, ekonomicznych i prawnych.

Dzisiaj ZPAP to życiorysy pokoleń artystów wprzęgniętych na równi w historię kraju i narodu, jak i w najbardziej dynamiczne przemiany w sztuce. W początkach istnienia Związku, w Polsce nie istniejącej na mapach, triumfowała secesja okraszona młodopolskim refleksiem impresjonizmu. W Paryżu o duchowy prymat zabiegali ekspresjoniści, futuryści i kubiści. W czasach totalnego zamętu wspólnota celów zawodowych nie szła w parze z jednością artystycznych poszukiwań, co legło u podstaw programu Związku i stanowiło o jego sile przez następne dziesięciolecia.

Paradoksalnie, nieszczęście, jakim jest wojna, przywróciło nam wolność i państwowy byt. Dwa miesiące przed jej końcem Rada Regencyjna tworzy Ministerstwo Kultury i Sztuki utrzymane w strukturze rządu II Rzeczypospolitej dzięki (w dużej mierze) aktywności ZPAP. Pierwszy Powszechny Zjazd Związku Polskich Artystów Plastyków (korekta nazwy) w roku 1919 poświęcony był prawnym podstawom zabezpieczającym twórczość artystyczną w dziedzinie praw autorskich, spraw bytowych, kwestii szkolnictwa artystycznego, wzornictwa, promocji sztuki. Wachlarz problemów aktualnych do dzisiaj.

U schyłku lat międzywojennych narastają spory ideologiczne i radykalizuje się podział na popieraną sztukę „tematyczną – narodową” i będącą w opozycji sztukę „formalną”. Związek próbuje zachować neutralność w kwestiach politycznych, a także artystycznych. Wydaje się, że próbuje pogodzić pragmatyzm z misyjnością. W czasach PRL do tych cech dodać należy deklaracyjny koniunkturalizm będący wówczas gwarantem przetrwania. „Deklaracyjny”, bo w sprawozdaniach z lat siedemdziesiątych okazało się, że członkostwo w jedynej słusznej partii wahało się u plastyków wokół 2% (50% u literatów, 90% u dziennikarzy).

Początek historii Olsztyńskiego ZPAP zawdzięczamy Hieronimowi Skurpskiemu, niestrudzonemu i efektywnemu przewodnikowi, organizatorowi Muzeum Warmii i Mazur, Biura Wystaw Artystycznych, Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego „Pojezierze” i wielu innych inicjatyw w sferze kultury. Hieronim Skurpski, Janina Zielińska i Jan Ilkiewicz stanowili załóżkę środowiska artystycznego w trudnych pod każdym względem latach i w zrujnowanym otoczeniu kulturowym. Przybywający do Olsztyna kolejni twórcy prócz pracy artystycznej angażowali się w dziesiątki przedsięwzięć oświatowych i promocyjnych. Może dzięki temu w roku 1961 Zarząd Główny nadał olsztyńskiemu Oddziałowi (30 członków) status Okręgu, co było nie tylko nobilitacją, ale przyniosło konkretne korzyści: siedziba, biuro, etaty,

wpływy. Związek starał się rozwiązywać istotne dla miejscowych twórców problemy zaopatrzenia w materiały artystyczne, możliwość sprzedaży dzieł, wynajmowanie pracowni, dokumenty zastępujące pieczętkę w dowodzie o zatrudnieniu (czas nakazów pracy), emerytury socjalne, zapomogi. Od marca 1967 roku, dużym wysiłkiem organizacyjnym, ale i własną pracą fizyczną (Uchwała 100 godzin), oraz opodatkowaniem od wszystkich wynagrodzeń 50 członków ZPAP rozpoczęło budowę własnej siedziby. Ten nadzwyczajny wysiłek artystów jesienią 1970 roku – z błogosławieństwem miejscowych władz – zwieńczony został oficjalnym otwarciem Domu Plastyka. Dzisiaj ten fakt jest zapomniany przez władarzy i ignorowany przez kolejne instancje sądowe. Nie doczekaliśmy się rewindykacji majątku zagarniętego w czasie Wojny Jaruzelskiej.

29 sierpnia 1980 roku ZGZPAP wystąpił z oficjalnym poparciem strajków na Wybrzeżu – jako jedyna w PRL organizacja. Narastała obawa przed interwencją milicji. Jesienią powołano ukryte struktury ZPAP na wypadek konieczności działania w konspiracji, co wkrótce okazało się zbawienne dla dużej części środowiska artystycznego. W grudniu tego roku zrzeszonych było 10000 plastyków. Związek wspierał finansowo działania Komitetu Kultury Niezależnej „Solidarność”, wydawnictwa drugiego obiegu, organizował akcje pomocowe, a działalność artystyczną przeniesiono do kościołów i mieszkań prywatnych. Ten najbardziej heroiczny okres ZPAP poskutkował w 1983 roku jego „zawieszeniem”, a następnie delegalizacją. Jednocześnie aparat władzy wypróbowanymi przez lata sposobami zabiegał o skompromitowanie i rozdrobnienie środowiska. Był to okres żalonych upadków i szlachetnych wlotów ludzi i sztuki, których chyba jeszcze nie czas podsumowywać.

14 czerwca 1989 roku Sąd Wojewódzki w Warszawie dokonał legalizacji Związku przez ponowną jego rejestrację. W grudniu powróciła Rzeczpospolita Polska.

Kolejnych dwadzieścia parę lat to niezmiennie zabiegi ZPAP o szacunek dla sztuki i jej twórcy. Zmieniły się realia funkcjonowania Związku i jego otoczenie. Wielopłaszczyznowa rewolucja dokonała przemian zarówno w sferze materialnej jak i duchowej oraz pojęciowej. Pojawiły się nieznanne dotąd zjawiska, zachowania, zawody, przyczyny i skutki. Ale sztuka wciąż istnieje i jest potrzebna elicie bezinteresownie czyniącej dobro – więc piękno.

Przyjaciel, Andrzej Mitan, tak definiuje sztukę: SZTUKA TO MANIFESTOWANY PRZEZ ARTYSTĘ PROCES TWORZENIA NIEPODLEGŁEJ RZECZYWISTOŚCI. A więc i On, jak wielu, uważa, że Sztuka bez Artysty nie zaistnieje. Artysta zaś, o czym od zawsze niechętnie się myśli, by stworzyć, musi żyć możliwie godnie. I to powód, dla którego w tytule cyklu (20) wystaw **ZPAP** do minionych **STU** lat dodajemy **PLUS**.

Korzystałem z monografii: *Nowy przekład w kolorze – historia ZPAP 1911-2011, 60 lat Okręgu Olsztyńskiego ZPAP* (tekst Wandy Radziemskiej) oraz z tekstu towarzyszącemu akcji artystycznej Andrzeja Mitana *Polski poemat dydaktyczny, czyli rzecz o polskiej filozofii twórczości i etyce w sztuce*.

# Nowe oblicze elbląskiej Galerii EL

Elbląska Galeria EL to miejsce, które od 50 lat aktywnie kreuje współczesną sztukę w Polsce. Dawny poddominikański kościół, w którym mieści się instytucja, w latach 60. ocalony od zniszczenia przez założyciela Gallerii – Gerarda Kwiatkowskiego, po półwieczu zyskał nowe oblicze. Dzięki dotacjom, pozyskanym na projekt rewitalizacji w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Warmia-Mazury 2007-2013, gotyckie wnętrze zostało wzbogacone w 2011 r. o dodatkową powierzchnię wystawienniczą w formie dwukondygnacyjnej konstrukcji ze szkła i stali. Zastąpiła ona istniejącą do 1945 r. drewnianą emporę, typową dla ewangelickich budowli sakralnych.

Poza tym nowoczesnym elementem, wpisanym w nawę boczną, do użytku oddano nieczynny od prawie 12 lat krużganek – miejsce pochówku dawnego patrycjatu hanzeatyckiego Elbląga.

Galeria EL rozpoczęła działalność w nowej szacie 15 maja 2011 r. Podczas Nocy Muzeów, w której Galeria EL uczestniczyła już po raz czwarty, przygotowano performance świetlnodźwiękowy w iście mistrzowskim wykonaniu. W nawie głównej swój występ prezentowali Kurt Laurenz Theinert i Krzysztof Topolski aka Arszyn. Kurt Laurenz Theinert to niemiecki fotograf i artysta światła. Dzięki wsparciu programistów Rolanda Blacha i Philippa Rahlenbeck'a skonstruował instrument nazwany „Wizualnym pianinem”, które umożliwia mu przełożenie artystycznych intencji w żywy performance poprzez konfigurację czasu ze światłem.

Krzysztof Topolski aka Arszyn to elektroakustyczny improwizator, autor soundartowych projektów. Perkusista jest dobrze znany elblążanom, ponieważ nie był to jego pierwszy występ w Gallerii. Występ duetu Theinert-arszyn jest każdorazowo pełną improwizacją, nie ma ustalonego scenariusza. Stanowi tym samym, co podkreśla Kurt Laurenz Theinert, swoiste wyzwanie zmierzenia się z przestrzenią, dźwiękiem i obrazem w określonej chwili; wymaga jednocześnie czujności i spontanicznej reakcji. Program Nocy Muzeów w Elblągu był specjalnie przygotowany z myślą o Gallerii EL. Wyjątkowe i monumentalne wizualizacje Theinerta, wydobywające ze średniowiecznych murów całe ich piękno, w połączeniu z głębokimi i tajemniczymi dźwiękami kreowanymi przez arszyna wytworzyły tego wieczora w Gallerii szczególny nastrój. Dla zwiedzających otwarty został także krużganek z opracowaną dla tego wnętrza rzeźbą świetlną poznańskiego artysty Sławomira Brzoski. Artysta znany jest z niezwykłych instalacji, które tworzy przy użyciu sznurka, wełny i światła UV, a efekt, jaki udało mu się osiągnąć w Gallerii EL, zaskoczył niejednego odwiedzającego.

Oficjalne otwarcie Gallerii miało miejsce 21 maja. Nie była to jednak zwykła uroczystość, bo i okazja była szczególna. Mieliśmy zaszczyt gościć Gerarda Kwiatkowskiego, założyciela Gallerii EL i animatora życia kulturalnego w powojennym Elblągu, który kwietniową decyzją Rady Miasta został Honorowym Obywatelom Elbląga. Podczas sobotniego wernisażu Gerard Kwiatkowski odebrał

z rąk prezydenta miasta Grzegorza Nowaczyka i przewodniczącego rady Miasta Jerzego Wcisły oficjalny akt nadania honorowego obywatelstwa. W uroczystej gali wzięli udział dawni współpracownicy i przyjaciele założyciela Centrum Sztuki Jerzy Wojewski i Janusz Hankowski oraz Ryszard Tomczyk. Wśród gości byli także artyści z zagranicy, których prace można oglądać w Gallerii EL.

Bez Gerarda Kwiatkowskiego nie byłoby Gallerii EL, nie byłoby także nowej kolekcji, która swoje miejsce znalazła na nowo oddanych do użytku emporach. Każde świadome kolekcjonowanie opiera się o gromadzenie dzieł według zasad określanych przez wydzielony obszar twórczości artystycznej. Kolekcję przekazaną przez Kwiatkowskiego opisują problemy artystyczne odnoszące się do zjawiska abstrakcji geometrycznej, tj. konkretyzm, reduktywizm, op-art czy inteligibilność. Z ponad 4 tysięcy zbiorów, zgromadzonych w Museum Modern Art, prowadzonego przez Kwiatkowskiego w Hunfeld, przywieziono 300 prac najbardziej znanych twórców abstrakcji geometrycznej. Są wśród nich artyści polscy – Andrzej Dłużniewski, Mieczysław Wiśniewski, Kajetan Sosnowski, Jerzy Kałucki, Zbigniew Gostomski, Jerzy Grochocki, Wanda Gołkowska, Jan Chwałczyk, artyści z Niemiec – Ulrich Otto, Karl Georg Phahler, Helmut Bruch, Friedrich Kracht, Reinhardt Roy, Heinz Friege, Alfons Kunen, Thomas Lenk, Karl Heinz Adler, artyści z Austrii – Josef Linschinger, Rolf Forster, Szwajcarii – Max Bill, Richard Paul Lohse, Belgii – Jean Pierre Husquinet, Holandii – Roland de Jong, Piet van Zon, Ewerdt Hilgemann, poza tym z Hiszpanii, Francji, Włoch, USA, Korei Południowej, Japonii, Izraela, Szwecji, Czech, Rosji i Wielkiej Brytanii. Tym samym Elbląg dostał pod względem artystycznym dar najwyższej próby, „drugie życie”, stając przed szansą posiadania jednej z najciekawszych kolekcji sztuki konkretnej w Polsce. Zbiór ten w połączeniu z kolekcją 46. monumentalnych form przestrzennych, powstałych między 1965-2009 r., rozsianych na terenie miasta oraz rozwijającej się unikalnej w Polsce kolekcji sound-artu stanowi dziś o potencjale kulturalnym Elbląga.



Fot. Piotr Grdeń  
(Archiwum Gallerii EL)



Fot. Miłosz Kulawiak  
(Archiwum Gallerii EL)



# Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodzicie... Koszmar lata na Mazurach

Anna Rau

Książka Katarzyny Zyskowskiej-Ignaciak pt. *Przebudzenie* stanowi z jednej strony rodzaj folderu ogólnopolskiej akcji „Mazury – cud natury”, z drugiej – horror metafizyczny z oryginalnym wątkiem regionalnym w centrum. Mieszanka dość wybuchowa, a do tego zadziwiająco niekonsekwentna w stylu i obrazowaniu, skoro całość budują poetyckie i pełne niekłamane zachwyty opisy mazurskiej przyrody – zwłaszcza jezior – oraz rozbudowana i totalnie niewiarygodna historia spisku plemienia pogan, osiadłego na współczesnych Mazurach. Sama malowniczość scen ani ów interesujący pomysł literacki związane ze wspomnianym wątkiem nie ratują tej książki. Fabuła jednak daje okazję do interesujących przemyśleń nad tym, jaki wizerunek mazurskiej wsi może nie tyle egzystuje w powszechnej świadomości, co przynajmniej bardzo często pojawia się w literaturze.

Autorka starała się, przepłatając mroczną przeszłość ze współczesnymi realiami, skonstruować „prawdziwą powieść przygodową”. Główna bohaterka książki, młoda, zaczepna, samodzielna i bardzo urodziwa dziennikarka Zuzanna Pilchowska niespodziewanie otrzymuje po nieznanym krewnym spadek w postaci posiadłości na Mazurach. Gdy kobieta przyjeżdża na miejsce, okazuje się, że „posiadłość” to ruina z niejasną przeszłością na obiecującym pod względem inwestycyjnym kawałku ziemi nad jeziorem. Zuzanna wkrótce dowiaduje się o ciemnym aspekcie roli dziedziczki: otacza ją nieuzasadniona niechęć mieszkańców okolicznych miejscowości, pogrąża w niepokoju ujawniona – dzięki listom od niezżyjących krewnych – mroczna przeszłość rodziny, zaczyna sypać się uporządkowany dotąd, choć nieoficjalny, związek z pewnym bogatym i samolubnym mężczyzną, a ponadto wokół niej krąży jakieś nienazwane zagrożenie. To wszystko oraz motywy ubarwiające całość, typu zagadka grobowca rodziny von Schenków, tragedia wymarłego plemienia Galindów, zjawiska nadprzyrodzone oraz wątek obyczajowy z miłosnym trójkątem w centrum, stanowi – wydawałoby się – dobry potencjał na interesującą książkę. Niestety, całość razi pretensjonalnością i – nawet jak na powieść z metafizyką w fabule – niewiarygodnością. Na przykład drugi z wymienionych wątków – historia Galindów – urasta na kartach książki do rangi równej wielowiekowemu i ogólnościatowemu spiskowi masońskiemu. Trzeba przy tym pamiętać, że o plemieniu Galindów, bytujących na terenach pomiędzy dzisiejszym Olsztynem i Szczytnem a południowo-zachodnimi krańcami Litwy w okresie ok. V w. p.n.e.-XIII w. n.e. nie zachowało się zbyt wielu informacji poza tą, że to lud wymarły. Zyskowska-Ignaciak ożywiła plemię pogan, umieszczając ich czystej krwi potomków (!) w rzeczywistości XXI w. – w dodatku w masce jednoznacznych szwarzcharakterów, odprawiających starożytne i rozpustne obrzędy na wyspie Gilma. Na co dzień żyją oni, klepiąc biedę, w okolicznych zaniedbanych wioseczkach, wysyłając jednak swoich co bardziej utalentowanych

przedstawicieli niczym Wallenrodów w cywilizowane okolice, aby tam zdobywali doświadczenie oraz nowych członków społeczności... I w tym miejscu pojawia się na kartach książki socjologia – socjologia zbudowana na wielkim i niesprawiedliwym stereotypie. Opisy współczesnych małych siedlisk mazurskich stanowią bowiem niewytkłe zderzenie z klimatycznymi opisami przyrody, które autorka wręcz cyzeluje... „Za oknami roztaczał się widok na czerwono-złote lasy i spowite mgłą pola. Nagle Warszawa wydała jej się nierealna, a czekająca ją tam problemy nieprawdziwe. (...) Czuła docierające od wody poddmuchy wiatru i charakterystyczny zapach przybrzeżnych trzciny. Promienie wiszące wysoko na niebie słońca przebijały między konarami, tworząc na ziemi ruchome świetliste znaki”. Jakże przyjazną przestrzenią mazurskich dzikich ostępów jest świat jezior! „Zamiast lekko drwiącego uśmiechu, zobaczyła na jego twarzy [swojego mężczyzny] zachwyty. Rzeczywiście wyspa wydawała się wyjęta z bajki. Słońce chylące się ku zachodowi kładło coraz dłuższe cienie, a całe jezioro otulała ciepła czerwona poświata. Tak wspaniale bywało na Mazurach tylko wczesną jesienią”. Oto powszechnie znana prawda – piękny i mroczny las, lśniące jezioro, prosta piaszczysta droga, swojskie pomosty, drewniane budownictwo, o zmierzchu cisza przerywana jedynie wołaniem kormoranów – to kwintesencja Mazur, to nieodmiennie ukoj każdego mieszczucha. „Panującą tu ciszę przerywał jedynie odgłos fal uderzających o brzeg i szum trzciny”. I jakby dla spotęgowania efektu, wśród takich idyllicznych obrazków Zyskowska-Ignaciak, prowadząc swoją bohaterkę kolejnymi mazurskimi drogami, stopniowo mnoży krótkie i dające ogłęd sytuacji scenki zacofania i wycofania ze współczesności mazurskich osad. „Okazało się, że asfaltowa szosa przechodzi w zwykłą polną dróżkę. A więc dalej nie ma już czego szukać”. Znamienne zdanie. Wrażenie to potęguje stosowne umieszczenie fabuły w czasie posezonowym, gdy jesień nastraja w najlepszym razie nostalgicznie, ale ogólnie – depresjonuje: „Opustoszałe uliczki i deptaki (...); po wyludnionym wybrzeżu kręcił się tylko jeden, i to niezbyt przyjemnie wyglądający facet”. Zuzanna, już wjeżdżając w strugach deszczu na ziemię swojej rodziny, przeczuwa, że enigmatyczne „coś” się stanie. Atmosfera zagęszcza się, a widoki za oknem, choć przyciągają malowniczością, odpychają jednocześnie nieprzydatnością do komfortowego życia. „Dziwnie musi być żyć w tym miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc” – komentuje w duchu dziennikarka, jako że mijane wioski wyglądają „niezachęcająco”, składając się z „obskurnych bloków będących pozostałością dosyć dużego PGR-u oraz budynków gospodarczych z cegiel i kamieni. (...) Prócz tabliczki na jednym z domów stojących od strony jeziora, informującej o prowadzeniu tutaj działalności agroturystycznej, nie było śladu żadnych ośrodków wczasowych czy przystani wodnej. [Tylko] (...) maleńki gotycki kościółek, w pobliżu którego stało kilka



osób (...). Przed budynkami użyteczności publicznej typu sklep, kościół czy siedziba miejscowych władz nieodmiennie pyliste klepiska budzą w Zuzannie odrazę. Tak samo też kiwa z politowaniem głową nad zabudowaniami – najczęściej „budyneczkami z czerwonej cegły, które od dawna nie mogły doczekać otynkowania” jako pozostałości przedwojennego pruskiego osadnictwa na tym terenie. „Centrum kulturalno-rozrywkowe wioski, o czym świadczyły porozrzucane plastikowe korki, którymi zwykle zamyka się tanie wina, i wdeptane w ziemię niedopałki papierosów” stanowią na Mazurach wyłącznie... ławki – nieliczne i oczywiście zdewastowane. W sklepach „wnętrze nie prezentowało się dużo lepiej niż budynek. Wystłżone, popękane miejscami linoleum było niezbyt czyste, a na tle pomalowanych olejną farbą ścian stały rzędy sfatygowanych regałów sklepowych prezentujących raczej kiepski asortyment towarów. Na jednej z półek leżało parę smętnie wyglądających bułek (...), resztę sklepu zajmowały dwie lodówki wypełnione puszkami piwa i napojami w dość dziwnych kolorach”. (To wszystko w czasach sanepidu). Tę skansenową rzeczywistość Mazur autorka sama podsumowuje w ciekawym fragmencie: „(...) Przypomniała sobie reprodukcje starych fotografii, na które natrafiła kiedyś w jakiejś księżce babci z lat sześćdziesiątych. Przedstawiały widok podobny do dzisiejszego, a tak rzadko już spotykany: spokojna toń jeziora i nietknięta przez człowieka przyroda, harmonizująca z nielicznymi powiewającymi na wietrze białymi żaglami”. Z jednej strony wrażenie zatrzymania w czasie, ożywionej niezmiennej przeszłości, z drugiej znany z folderów turystycznych stereotyp – na Mazurach, w Krainie Tysiąca Jezior, nic więcej prócz jezior nie ma! Gdy bohaterka rozmyśla nad rozrywkami, jakże pociągającymi i odmiennymi w stosunku do otaczającej ją zimnej ciszy prowincji, gdzie „wokół nie było widać ludzkiej duszy”, snuje wizję, jak to „w modnych kurortach – Mikołajkach i Rucianem-Nida wieczorami się pije w głośnych dyskotekach czy na dancngach”. W przeciwieństwie do tych atrakcyjnych miejsc wsie mazurskie i w sezonie, i po nim to przestrzeń zapomniana przez Boga. Z odnarratorskich komentarzy bije niepisany przekaz, że Prawdziwe Życie, czy wręcz – że JAKIE-KOLWIEK wydarzenia – rozgrywają się w mitycznym „Gdzie Indziej”.

Autorka wkłada fabułę powieści w realne warunki – miejsca i krajobrazy. Akcja *Przebudzenia* rozgrywa się częściowo w Warszawie, w większości zaś w powiecie giżyckim – nad Jeziorem Dobskim, we wsiach Dziewiszewo i Doba, trochę nawet w samym Giżycku. Proza opisująca świat stolicy zdecydowanie epatuje jednoznacznym przekazem – utwierdza przekonanie o podziale kraju na „Polskę A” i „Polskę B”. Krąg wielkomiejski – w tym wypadku warszawski – jest nie zawsze wygodny i prawie nigdy zdrowy, ale znany, oswojony, i na pewno bezpieczny w przeciwieństwie do mazurskiej głuszy, gdzie szczekają zdziczałe psy, a w wypielęgnowane włosy wkręcają się wściekle nietoperze. Prowincja to ciemne i zacofane miejsce, do tego tamtejsi ludzie zachowują się w sposób nieokrzesany lub przynajmniej dziwny, tremując jednostki przybyte spoza zony – „baczne spojrzenia i poważne twarze spowodowały, że Zuzanna wróciła do samochodu”. Miejscowi komunikują się z wyraźną niechęcią, robią wrażenie nieprzyjaznych, a do tego – jak się okazuje w rozwiązaniu akcji – wręcz bywają wplątani w wielowiekowe spiski i zaprzysiężeni

w tajnych organizacjach. Po drogach i zaułkach krążą, rzucając kłótwy, stare zielarki. „A to ci dopiero mazurska gościnność” – podsumowuje to wszystko Zuzanna. Oczywiście od czasu do czasu – bardzo rzadko – pojawia się w ciemnościach iskierka światła – bezpieczny świetek przytulnego niedużego pensjonatu o bezpretensjonalnym wyposażeniu i wybitnym poziomie potraw regionalnych. To jedno autorka podkreśla – rozkosze smakowe nieodmiennie genialnych pierogów, świetnie przyrządzonych ryb i budzących westchnienia ciast. Jedyny powiew optymizmu i ucieczka przed grozą prymitywnego, niezrozumiałego mazurskiego świata. Takich miejsc – enklaw cywilizacji jest jednak mało – również z powodu zacieklej ciemnogrodzkiej postawy miejscowych: „Ciężko [tu] ruszyć z jakąś inwestycją. Ludzie tu mało przyjaźni dla obcych (...). Są ostrożni i dla nich każdy obcy to wróg. Doba to [taka] niezwykle stara miejscowość. Bardzo ładna i ciekawa turystycznie, ale jakoś ludziska nie potrafią tego wykorzystać. (...) Za turystami nie przepadają. Wolą klepać biedę niż na przykład jakiś kurort zbudować”. To wszystko może byłoby zabawne, może intrygujące, ale po pierwsze opis rodzimej znanej rzeczywistości w kategoriach egzotyki trochę śmieszy, a po drugie wypychanie czarnej stylizacji – trąci kiczem. Tak jak nagromadzenie negatywnych opisów, które piętnuje wsie mazurskie jako miejsca przeklęte (obecność pogańskich praktyk) i pogardzane przez ludzi – zwłaszcza miejscowych, którzy mówią o swojej „małej ojczyźnie” (ulubiony termin współczesnej humanistyki regionalnej) „nasze mazurskie, za przeproszeniem, zadupie”.

Ukazany przez Zyskowską-Ignaciak obraz mazurskiej prowincji może nie tyle zastanawia, gdyż poniekąd stanowi on prawdę. Gdy się przejeżdża przez niewielkie miejscowości i siedliska Mazur, rzeczywiście widać malownicze domy z czerwonej cegły i drewniane stodoły, nienajlepszej jakości drogi i maleńkie domy kultury. W *Przebudzeniu* zastanawia jego zaciekle przerysowanie. Jak widać, powieść Zyskowskiej-Ignaciak nie ma nic wspólnego z nurtem sielankowo-wspomnieniowym w stylu prozy Kalicińskiej czy Enerlich – wręcz stanowi ich przeciwieństwo. Autorka świadomie przyjmuje konwencję „turpizmu regionalnego” – co jeszcze podkreślają opisy pozostałości dawnej świetności regionu: ruiny dworów, fundamenty kościołów, zapadłe groby z zardzewiałymi arcydziełami sztuki kowalskiej. Świetność ta była faktem w przedwojennych, albo i dawniejszych czasach, gdy mieszkali tu Niemcy – przez pokolenia powojenne została zatracona, rozgrabiona, zaniebana. Z kart *Przebudzenia* – było nie było – romantycznej powieści „dla kobiet” – przebija we fragmentach dotyczących tych kwestii dość toporny dydaktyzm, jako że Zyskowska-Ignaciak tu i ówdzie wkłada w usta swoich bohaterów takie kwestie jak: „Potrzeba kogoś młodego energicznego (...). [Trzeba] zbudować jakiś ładny ośrodek, żeby ludzie mieli pracę i zaczęli dostatniej żyć. (...) Starodrzew i widok na jezioro. To miejsce świetnie nadaje się na pensjonat (...)”. Końcowy apel do wielkomiejskich poszukiwaczy tanich nieruchomości – wszelkie podobieństwo do miejsc i zdarzeń jest zamierzone, ale przypadkowe i totalnie fałszywe.

Zyskowska-Ignaciak Katarzyna, *Przebudzenie*, Warszawa, „Nasza Księgarnia”, 2011.



# Cittaslow na Warmii i Mazurach



rete internazionale delle città del buon vivere

Jest na świecie wiele pięknych, tętniących turystycznym życiem miejsc. Jest jednak też wiele miejsc, gdzie turystów nie ma tak wielu. W dzisiejszym wielkim świecie jesteśmy zaganiani i niespokojni, gonimy czas, aby zaspokoić najważniejsze potrzeby. Są jednakże miejsca, gdzie życie jakby jest spokojniejsze, gdzie więcej jest czasu na refleksje. To małe miasta położone najczęściej z dala od głównych dróg, z dala od wielkiego przemysłu, a czasem i od przesytu nowoczesności. W trosce o „nasz” czas zrodziła się m.in. sieć barów szybkiej obsługi zwana potocznie fastfoodami. Jako przeciwwaga do tego – niezbyt zdrowego – sposobu odżywiania w 1986 roku zrodził się ruch „Slow food”. Podstawowym celem tej międzynarodowej organizacji typu non-profit jest „ochrona prawa do smaku” poprzez wspieranie regionalnych producentów naturalnej żywności.

W 1998 roku podczas spotkania tej organizacji z burmistrzami czterech włoskich miasteczek (Bra, Greve di Chianti, Orvieto i Positano) zrodził się pomysł ruchu Cittaslow, którego celem byłoby rozszerzenie filozofii ruchu Slow food na społeczności lokalne, stworzenie dobrego sposobu codziennego życia. W manifestie miast SLOW czytamy: „Życie w jednym z miast SLOW, a także zarządzanie nim – to pewien sposób bycia, cecha charakterystyczna prowadzenia życia codziennego w sposób odmienny od tego dotychczas dominującego, tryb zwolniony, pewny, mniej gwałtowny, nie tak prędko i nastawiony na wydajność, ale bez wątplenia bardziej ludzki i ekologicznie poprawny, bardziej solidarny z obecnymi i przyszłymi pokoleniami, szanujący to, co lokalne, w świecie coraz bardziej globalnym i wewnętrznie skomunikowanym”.

Reszel (fot. z archiwum aut.)



Miasta członkowskie sieci nie mogą liczyć więcej niż 50.000 mieszkańców i muszą spełnić szereg parametrów związanych z ochroną środowiska, infrastrukturą miejską, produktami lokalnymi, turystyką i promocją. Zadaniem władz tych miast jest uświadamianie mieszkańcom, na czym polega członkostwo, do czego należy dążyć i jakie można z tego tytułu mieć korzyści.

Obecnie do sieci Cittaslow należy 147 miast z 24 krajów na całym świecie. W Polsce członkami Stowarzyszenia jest 5 miast z Warmii i Mazur i 1 z Wielkopolskiego, ale ustawia się już kolejka chętnych do przystąpienia. Zdecydowały się one szukać swych szans w rozwoju uwzględniającym takie wartości jak bogactwo tradycji, piękno dziedzictwa kulturowego i krajobrazu. To naturalne właściwości małych miast na Warmii i Mazurach, do tej pory nie wszędzie i nie w pełni wykorzystywane. Jest szansa, aby to zmienić.

## Marek Janiszewski, Burmistrz Reszla:

*Wszystkie założenia Cittaslow są równie ważne. Niczego nie da się jednak zrobić bez współdziałania ze środowiskiem lokalnym. Społeczność musi chcieć żyć w zgodzie z naturą, musi rozumieć, że Cittaslow oznacza poprawę jakości w naszym codziennych działaniach, dbałość o naszą przyrodę i kulturę. Celem jest promocja produktu lokalnego; może być to np. rzemiosło mocno osadzone w lokalnej tradycji. W XVII i XVIII wieku w mieście istniało ponad 40 różnego rodzaju rzemiosł. Ważną sprawą jest proces edukacyjny społeczeństwa, dotarcie z informacjami na temat Cittaslow do mieszkańców i zaangażowanie ich w działalność na rzecz poprawy warunków życia.*

Zgromadzenie ogólne Sieci (fot. z archiwum aut.)



Festyn Cittaslow w Bisztynku; fot. Andrzej Grabowski



#### **Józef Blank, Burmistrz Nowego Miasta Lubawskiego:**

Najważniejsze cele strategiczne Nowego Miasta w zakresie Cittaslow to: ochrona środowiska, dalsze kanalizowanie gminy, poprawa funkcjonowania gospodarki odpadami. Dbamy o infrastrukturę publiczną – modernizujemy drogi, budujemy nowe place zabaw, a stare wyposażamy w atrakcyjny sprzęt. Życie mieszkańców małych miast jest o wiele spokojniejsze niż ludzi funkcjonujących w rzeczywistości wielkomiejskich aglomeracji. Nie zabiera nam dużo czasu przemieszczanie się między pracą a domem, możemy dłużej zajmować się swoim zainteresowaniami. Warto podkreślić łatwość kontaktu z przyrodą, czy lokalnymi tradycjami, które są stałymi elementami naszej codzienności.

#### **Elżbieta Samorajczyk, Burmistrz Biskupca:**

Wiosną 2007 roku, kiedy wstąpiliśmy do Sieci, zobowiązaliśmy się wykonać szereg działań. Niektóre z postawionych celów już osiągnęliśmy. Miasteczko wypiękniało, jest czyste, pełne zieleni i miejsc do wypoczynku. Jednym z głównych wymagań jest wypromowanie lokalnego produktu, oryginalnego i charakterystycznego dla miasta. Produktu, który jednocześnie stałby się jego wizytówką. Postanowiliśmy, że naszym miejscowym przysmakiem będą pierogi. W tym celu organizujemy corocznie Warmińską Uctę Pierogową.

#### **Jan Wójcik, Burmistrz Bisztynka:**

Bisztynek jest niedużym miastem, co daje mu szansę, aby stał się miastem dobrego życia. Możliwości dla jego rozwoju wynikają z jego uwarunkowań – naturalne otoczenie, brak zakładów przemysłowych,

a życie toczy się własnym tempem. Nasze działania ukierunkowane są na rozwój miasta i poprawę jego wizerunku. Powstał pierwszy w naszym mieście hotel, dbamy o punkty zieleni już istniejące i zakładamy nowe, podejmujemy działania na rzecz ochrony środowiska.

#### **Artur Wajs, Burmistrz Lidzbarka Warmińskiego:**

Cittaslow to szansa, którą nasze miasto już wykorzystuje – dowodzi tego fakt zorganizowania 23-25 czerwca br. w Lidzbarku prestiżowej konferencji Międzynarodowego Zgromadzenia Sieci. Wymiernych korzyści należy spodziewać się jednak za kilka lat. Na razie inwestujemy. Na przykładzie Lidzbarka Warmińskiego widać, że jest to proces bardzo dynamiczny. Miasto zaczęło rozwijać infrastrukturę turystyczną, poprawia estetykę, remontuje się zabytki, powstają nowe miejsca pracy. Robimy wszystko, aby zahamować ucieczkę młodych ludzi do większych ośrodków, a żeby osiągnąć – musimy ich przekonać, że właśnie tu mogą mieszkać, pracować i prowadzić życie na przyzwoitym poziomie.

Samorząd Województwa Warmińsko-Mazurskiego jest członkiem wspierającym działania tej sieci. Działania polskiej sieci koordynuje Departament Polityki Jakości Urzędu Marszałkowskiego Województwa Warmińsko-Mazurskiego.

Departament Polityki Jakości Urzędu Marszałkowskiego w Olsztynie  
(bjz@warmia.mazury.pl)

Więcej informacji na [www.cittaslow.net](http://www.cittaslow.net) i [www.cittaslowpolska.pl](http://www.cittaslowpolska.pl)



# „Biblioteka zbliża ludzi”

## 65 lat Miejskiej Biblioteki Publicznej w Morągu

historia



Historia morąskiej biblioteki rozpoczęła się w grudniu 1946 roku, gdy w odbudowującym się po wojennych zniszczeniach mieście władze uruchomiły bibliotekę powiatową. Na przestrzeni lat placówka rozwijała się, zmieniała swoją siedzibę, a w ostatnim czasie rozszerzała także swoje funkcje. Dzięki ludziom, którzy pełni entuzjazmu i zaangażowania tworzyli biblioteczne struktury w Morągu i okolicach, dziś biblioteka uznawana jest za najlepszą instytucję kulturalną w mieście, lubianą i szanowaną zarówno przez mieszkańców jak i włodarzy miasta.

Rozwój biblioteki w ostatnich latach wiąże się głównie z możliwościami pozyskiwania środków zewnętrznych – to dzięki nim możliwe były remonty, dodatkowe inicjatywy kulturalne oraz nowy sprzęt. Sieć biblioteczna, mimo iż dużo mniejsza niż przed laty, dziś odzyskuje swój blask. Większość wiejskich bibliotek jest już wyremontowana, a we wszystkich na Użytkowników czeka nowy sprzęt otrzymany w ramach Programu Rozwoju Bibliotek.

Wszelkie zmiany w naszej instytucji, w tym również nowe funkcje biblioteki, wynikają przede wszystkim z potrzeb jej Użytkowników, które staramy się zaspokajać. W ostatnich latach znacznie poszerzyliśmy ofertę kulturalną morąskiej biblioteki. Zmieniliśmy przede wszystkim charakter Czytelni z tradycyjnej na multimedialną z wolnym dostępem do zbiorów. Założyliśmy wypożyczalnię filmów i muzyki. Wszystkie nowe usługi staramy się promować, jesteśmy więc w prasie, telewizji i Internecie.

Nasza biblioteka stała się miejscem dla ludzi z pasją, którzy mają pomysł na życie i potrafią realizować swoje marzenia. Tym bardziej cieszy nas fakt, że MBP w Morągu w pewien sposób przyczynia się do realizowania tych marzeń.

Mamy to szczęście, że cały zespół już dawno zrozumiał, iż rola biblioteki ciągle się zmienia. Staramy się być na bieżąco ze światowymi trendami, przenosić dobre praktyki na nasz grunt – i dzięki temu zmiany nas nie przerażają, a wręcz ciekawią i motywują. Wiele pomysłów to efekt wyjazdów pracowników na różnego ro-

dzaje szkolenia i wizyty studyjne. Dzięki temu transferujemy na nasz grunt tzw. „dobre praktyki”, zarówno jeśli chodzi o nowe usługi jak i elementy wyposażenia wnętrz i zarządzania.

Od dwóch lat biblioteka rozwija się zawrotnym tempie. Ogromny wpływ na to ma nasz udział w Programie Rozwoju Bibliotek. Kompleksowość tego przedsięwzięcia, włączenie w działania władz, zastrzyk nowego sprzętu do wiejskich filii – wszystko to w połączeniu ze szkoleniami i zaangażowaniem zespołu poskutkowało przekonaniem, iż idziemy w dobrym kierunku. Potrzeba wprowadzania nowych rozwiązań, oferowania usług dotychczas nie kojarzonych z biblioteką stały się czymś zupełnie naturalnym. Mimo pogoni za nowościami nie zapominamy jednak o podstawowym zadaniu biblioteki, czyli udostępnianiu treści – co ważne – treści zgromadzonych na różnych nośnikach. U nas książki przeplatają się z płytami, czasopismami, a biorąc pod uwagę modę na tablety, wkrótce także z e-bookami i szerzej – e-zasobami.

Zmiany, jakie zaszły w bibliotece na przestrzeni 65 lat, widać gołym okiem. Mimo że rola biblioteki i bibliotekarzy zmienia się bardzo dynamicznie, jedno pozostaje niezmiennie – zarówno instytucja jak i ludzie w niej pracujący muszą pozostać blisko ludzi, aby znać ich problemy i potrzeby oraz umieć im sprostać.

W przyszłości chcemy, aby nasza biblioteka stała się nowoczesnym, lokalnym centrum kultury, informacji i rozrywki. Mamy zamiar jeszcze bardziej uściślić współpracę z lokalnymi instytucjami i organizacjami pozarządowymi w zakresie rozwoju szeroko rozumianej kultury. Przed nami również praca nad większym zaangażowaniem lokalnych, wiejskich społeczności w życie ich bibliotek, a co za tym idzie – wspólne działania i wzajemne wsparcie. Bardzo nam zależy, by małe wiejskie filie biblioteczne stały się atrakcyjnym miejscem spotkań dla tamtejszej społeczności. Wierzymy, że dzięki wsparciu wielu ludzi i możliwości pozyskiwania środków zewnętrznych uda nam się osiągnąć cele, jakie zawarliśmy w naszej strategii rozwoju.

# Najlepsze imię dla tyrana

Piątek popołudniu. Naczynia pozmywane po obiedzie. Podłoga w kuchni dokładnie starta. Śledź na kolację już przygotowany. Mogła teraz zaparzyć sobie herbatę i, wyglądając przez okno, obserwować z czułością, jak córka trajkocze w najlepsze z przyjaciółką. Ale muszą być ostrożne, bo przecież on może w każdej chwili wrócić.

Sobota. Trzecia pięćdziesiąt. Za oknem jeszcze szaro. On spakował swój sprzęt na ryby i jak zwykle niezadowolony, bo w korytarzu znów jest piasek, wyszedł. To nic, że chce się spać. Trzeba wykorzystać czas, że mogą porozmawiać. Tylko dlaczego obie nadal szepczą?

Niedziela. Śniadanie zjedli w milczeniu. W kościele jak zawsze przed mszą muszą pójść do spowiedzi. On tak lubi. Inaczej będzie kara.

Edyta uczy się dobrze (nie może przecież Go zawieść). Jest posłuszna (On wie, co dla mnie lepsze), grzeczna (stara się nie hałasować – On tak łatwo się denerwuje), schludna (właściwie to nigdy nie robi bałaganu), systematyczna (bo co, jeśli On zechce ją sprawdzić). Za czytaniem nie przepada, ale lektury zna na pamięć (On i tak ją odpyta na wrywki). Ma znajomych, ale tylko w szkole (bo nie będzie Mu wstydu przynosić i wystawać pod blokiem jak „jakaś”). Tylko mamy jej szkoda. Tak rzadko się uśmiecha.

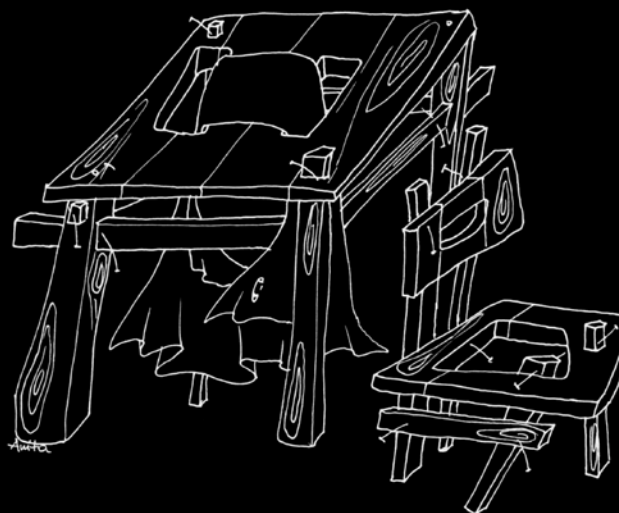
Andrzej Januszewski nie chodzi, a raczej kroczy – wolno, wyprostowany i zadowolony z siebie, jakby mówił całemu światu „Panuję nad wszystkim”.

\*\*\*

Oto rodzina Januszewskich z Łomży. Ewa Nowak, autorka niezwykle poczytnych książek dla młodzieży, w powieści „Michał Jakiś tam” z rozmysłem podejmuje problem trudnego dojrzewania nastolatków z tzw. toksycznych domów. Tu codzienność głównej bohaterki – Edyty, choć pozornie zwyczajna, podszyta jest wszechogarniającym lękiem. Jej strach nie zamyka się jednak w czterech ścianach. Niesie go wszędzie ze sobą jak garb, który widoczny z daleka naraża ją na ostracyzm i odrzucenie. A przecież ma tyle świata do zaoferowania. Tymczasem on pączkuje. Jest wszędzie. Czytający ma ochotę krzyknąć: „Dziewczyno, weź się w garść! Postaw się!”

Jednak otrząsnąć się, pozbierać – stanąć twarzą w twarz z Nim nie jest łatwo, nawet matce. Przecież dla innych to taki uroczy, inteligentny i kulturalny pan. Nikt go nie zna. „On wrzeszczy tylko na mnie i na mamę”. Prościej zapaść się w wymagowany świat – gdzieś na sielskich Mazurach, gdzie wszystko zależy od ciebie i gdzie niczego nie trzeba udawać. Nowe miasto, nowa szkoła, nowe środowisko. Tu strach wlecze się za nią. Nie widzi ojca, ale czuje jego groźne oko

Anita Romulewicz



w sobie. Nawet gdy wreszcie może odetchnąć i korzystać z życia – ono paraliżuje ją i sprawia, że rozpada się na części niczym pasikonik pożerany przez modliszkę. Jak, będąc „w rozsypce”, poradzić sobie z odrzuceniem, ze szkolną przemocą, szantażem? Skąd wziąć siłę, aby ignorować kanapki pełne śmieci, obraźliwe komentarze, podstępny?

Mądra książka to taka, która nie tylko zwróci uwagę na problem, ale dyskretnie podsunie radę, co zrobić, kiedy sprawy wydają się totalnie beznadziejne. Tak dzieje się w powieści Ewy Nowak. Autorka buduje dwa równoległe, a jednocześnie przeciwstawne sobie, światy. Celowo tworzy kontrast pomiędzy rodzinnym domem Edyty a miejscem jej „wygnania”, czyli zwariowanym i niesamowicie ciepłym domem wujostwa Gwidoszów. W tym mieszkaniu, choć może nie lśni ono higieniczną czystością (jak to przy dzieciach), żyje się pełnią życia, a jego lokatorzy to ludzie – nie bezduszne istoty. Nie sposób nie uśmiechać się, poznając rezolutne córki, Łapę, czyli psa, i Psa, czyli kota, zwariowane przyjaciółki mamy, dziecięcych „narzeczonych”, a przede wszystkim małżeństwo Gwidoszów, które dla babcinej kamizelki gotowe jest pójść na wojnę.

\*\*\*

Marysia, niesamowita ośmiolatka, kreatywna i ciekawa świata, przygotowała właśnie dla swoich bliskich „skarpetkowe” przedstawienie. Długo szukała właściwego imienia dla postaci-potwora, tyrana, który znęca się nad innymi i panicznie boi się śmiechu. To okrutnik Andrzej.

- Edytka mi odpowiedziała!

Nowak Ewa, *Michał Jakiś tam*, Warszawa, Egmont, 2006.





# Krótką podróż kolejką wąskotorową z Elku do Sypitek i z powrotem

Niewielka ciuchcia ciągnąca dwa albo i cztery kolorowe wagoniki sapie z wysiłku, gdy ma pod górkę, parska na pochyłające się nad nią z troską brzoźki i bucha parą z wyprężonego dumnie komina prosto w nos wyniosłym sosnom. Gdy pędzi, w kotlinach budzi uśpione echo, a gdy gna między brzegami, wody jeziora marszczą czoło. Czasami z radości nawet zagwizdże i wówczas biją jej brawo rezolutne pasikoniki, a tymotka i szczyr trwały wyciągają szyje zaciekawione obrazkami w szybach podskakujących na zakręcie wagoników. Tylko żuczki znów powalone na grzbiet, zlorzeczają i wygrająają czulkami całemu światu.

A w wagonikach (tych bez szyb) ojcowie rozparci na drewnianych ławkach wodzą wokół bezmyślnym wzrokiem, jakby całe ich myślenie o pięknych okolicznościach przyrody gdzieś im wywiało. Babcie poprawiają żakiety i marzą o szczelnie zamkniętych pomieszczeniach bez dopływu powietrza, a na głowach dziadków skrupulatne zaczeski targa bezczelny pędziwiatr. Jedynie matki z troską dopytują ciągnące je za rękawy dzieci: „No i czego ty, dziecko, jeszcze chcesz?” „Siku, pić i loda” – odpowiadają beztrasko i natychmiast o swoich potrzebach zapominają, bo oto gdzieś bzyknęła pszczoła i z kąta wyszedł na rekonesans pająk. Kilkoro dzieciaków rzuciło się w pogoń za owadem. Niestety po kilku kursach tam i z powrotem pszczołka wpadła w korkociąg i z wyczerpania legła pod którąś z ławek. Druga grupa natomiast siadła w kącie i wdała się w pogawędkę z pajakiem. Okazało się, że jak go przytrzymać za jedno odnoże, to co prawda trochę się szarpie, ale nie ucieka i słucha, co się do niego mówi.

Jakiś chłopczyk podszedł do ojca i zapytał: „Tato, a kiedy ta kolejka się narodziła?” „Nie wiem” – odpowiedział ojciec. „Narodziny kolejki to rok 1913. Wtedy otwarto pierwszy odcinek pruskiej linii wąskotorowej z Elku w stronę granicy rosyjskiej” – poinformował go synek i odszedł z powrotem do grupy. Ojciec chyba wrażenia jakiegoś dostał, bo mruknął „Yhy” i patrzył jakoś tak zagadkowo przed siebie. Po chwili chłopiec znów przed nim stanął. „Tato, a wiesz, jaka jest rozpiętość torów, po których jedziemy?” „Nie wiem” – odpowiedział ojciec. „Było 1000, ale w 1951 dokonano zmiany szerokości na 750 mm” – zakomunikowało mu dziecko. Ojciec znów westchnął, poszarzał i zmienił na twarzy. Przypominał teraz starego dinozaura, jakiego dzieci widziały na wystawie korzenioplastyki w Sypitkach.

„Tato, a wiesz, że parowóz, który nas wiezie, to Px48 i że on ma już ponad 60 lat, tak jak mój dziadek?” „Nie wiem”. „No to teraz już wiesz” – odpowiedział śmiało chłopiec. Ojciec nagle się rozbudził: „Ty... mi tu, kurde, się nie popisuj, bo cię zapytam, kiedy była bitwa pod Trafalgarem!” „Dwudziestego pierwszego października 1805 roku”. Mężczyznę szarpnęło: „Jadwiga, weź coś... On chyba porażenia od tego słońca dostał. Może tu gdzieś jakaś apteczka jest albo coś...” Matka przyłożyła rękę do czoła chłopca i zdrygnęła się gwałtownie, bo akurat parowóz dał sygnał i kolejka wtoczyła się na dworzec „Elk Wąskotorowy”.

Waldemar Tychek

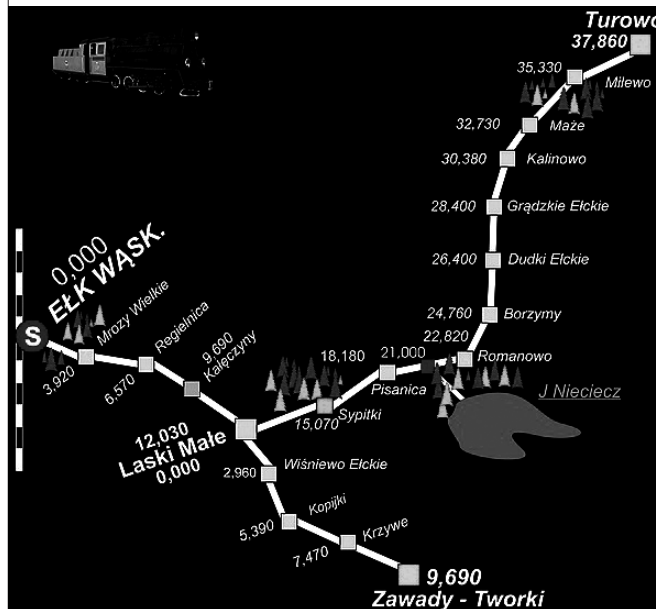
## wąskotorową powrotem



W drzwiach stacji witali powracających z podróży turystów panowie Adam i Mirosław Sawczyńscy – konserwatorzy kolejki i założyciele mieszczącego się w budynku dworca muzeum. „Szanowni państwo, zanim zaprosimy was do obejrzenia naszych zbiorów z historii kolejnictwa na Mazurach, kilka słów na temat kolejki, którą państwo podróżowaliście. Otóż...

narodziny kolejki to rok 1913. Wtedy otwarto pierwszy odcinek pruskiej linii wąskotorowej z Elku w stronę granicy rosyjskiej...”

W grupie turystów powstało jakieś zamieszanie. Chyba ktoś zemdlał, a dzieci, korzystając z chwili przerwy, obległy Px48. Kilkoro nawet dostało się do środka i, ciągnąc za sznurek, raz po raz uruchamiały świdrujący wszystkim w uszach gwizdek.



### Legenda

- S** ELK WĄSK. - stacja
- Sypitki - ognisko/biwak/piknik
- Turowo - przystanek końcowy
- Mrozy Wielkie - przystanek osobowy
- J Nieciecz - spacer

— linia normalnotorowa  
— linia wąskotorowa



# Kino drogi i bezdroży, czyli o przemieszczaniu...

Podróżować jest bosko, to wie każdy, kto chociaż raz wyściubił noskę spod ciepłej kołderki i domowe ognisko zaczął rozpalać przy szosie, gdzieś za stacją benzynową albo na polu sąsiada choćby. Podróżować jest bosko po celuloidowej taśmie, jak palcem po mapie zwiedzać, przyczajając się na smoki i tygrysy, podglądać zakochanych kowbojów, poznawać historię świata tę mniej lub bardziej prawdziwą. Podróżować można dylizansem, kosiarką i można pieszo, autostopem można, samolotem, pociągiem, można wzdłuż i wszerz przepatrzyć historię stuletnią kina i w każdym prawie nurcie, etapie odnaleźć podróz.

Już od początków kina, od filmu *Podróż na księżyc* Georgesa Mélièsa z 1902 roku, twórców fascynowała opowieść o podróży oraz poznawanie nieodkrytych dotąd zakątków wszechświata. Pojęcie kina drogi pojawiło się w latach sześćdziesiątych, w erze *beat generation*, i sztandarowo przywołuje tytuły filmów – *Easy Rider* w reżyserii Denisa Hoopera, *Znikający punkt* w reż. Richarda C. Sarafiana, czy *Konwój* Sama Peckinpaha. Nurt związany z amerykańskim poczuciem wolności, swobody i outsiderskiego podejścia do rzeczywistości. „Jak dobrze jest mieć dwadzieścia lat i być daleko od Yokohamy” – mówią bohaterowie *Mystery Train* Jima Jarmuscha z 1989 roku. Być daleko od domu, ciągle daleko... – właśnie wieczny eskapizm jest motywem przewodnim filmów Jarmuscha. A co się dzieje teraz gdzieś indziej na świecie? Taksówki są wszędzie takie same? Podróżujący taksówkami bohaterowie *Nocy na Ziemi* uprzytamniają odmienność zwyczajów, ale i podobieństwo osobistych doświadczeń.

Jarmusch, Lynch, Wenders, Herzog... podróżują w czasie i przestrzeni, a my upajamy się ich historiami... tak daleko – tak blisko. Każdy z nich na swój wyjątkowy sposób opowiada historie eksploracji. Najnowszy film Woody Allena *O północy w Paryżu* jest także inspirującym przykładem podróży w czasie i przestrzeni. Bohaterowie cofają się przez czasoprzestrzeń, wracają do najlepszych czasów bohemy paryskiej i w ten sposób Allen – ironicznie jak zawsze – przedstawia tuż współczesnej kultury jako zwykłych, zabawnych nawet ludzi.

Podróżować jest bosko, ale jak scalić to teraz, scalić i zatrzymać.

Mentalnym eksploratorom polecam *127 godzin*, ubiegłoroczny film Danny'ego Boyle'a. Film oparty na prawdziwej historii chłopaka poszukującego w górach adrenaliny. Jego rozbiegany świat został powstrzymany przez naturę. Co zrobić, kiedy ręka utkwii między skałami? Dookoła pustka, cisza i cała ta ipodowa nowoczesność na nic się nie zda. Ręka między skałami więzi na tytułowe 127 godzin, doprowadza do trudnych do zniesienia stanów umysłu, obezwładnia ciało. Bohater ma tylko to, czego dosięgnie drugą ręką, czyli kamerę, która upamiętnia te ostatnie już może chwile życia... Bo jak się może skończyć taka historia? Czy pomoc nadejdzie z zewnątrz, czy trzeba sobie samemu poradzić? Bujne życie, wieczna gonitwa karierowicza, poukładany gdzieś tam świat i rodzice są... ale... 127 godzin samotno-

ści uprzytamnia kruchość życia. I konieczność podejmowania wyborów, konieczność, która pojawia się na każdym kroku nawet w wyborze oglądanego filmu. Podróżujemy do upragnionych miejsc, zwiedzamy na ekranie wybrane twarze.

Podróżować jest bosko, także w naszym Olsztynie, gdzie podczas Olsztyńskiego Lata Artystycznego odbyła się dwudniowa impreza dla kinomanów – „Trakt filmowy”. W trzech punktach linii centralnej Starego Miasta można było doświadczyć odmienności gatunków filmowych, odmienności percepcji filmu w zależności od miejsca, w którym go oglądamy. „Trakt filmowy” to symultanicznie wyświetlane trzy filmy w różnych miejscach i trzeba było dokonać wyboru. W Wysokiej Bramie (symboliczne wejście na starówkę) odbył się pokaz filmu *Biegnij, Lola biegnij* w reżyserii Toma Tykwera – dynamiczny obraz młodej dziewczyny poszukującej pieniędzy, by pomóc ukochanemu. Lola ma dwadzieścia minut na zdobycie 100.000 marek, reżyser prezentuje trzy alternatywne rozwiązania sytuacji, jakby nie chciał wybrać jednego. Na scenie staromiejskiej (miejsce koncertów i zabaw) można było zobaczyć polską komedię muzyczną *Halo Szpicbródka* z uroczymi piosenkami m.in. Seweryna Krajewskiego i Agnieszki Osieckiej oraz z czarownym Piotrem Fronczewskim w roli kasiarza. A jednocześnie przy moście św. Jana, w Alei Gelsenkirchen (romantyczny zaułek w zakolu Łyny), fani kina francuskiego mogli sobie przypomnieć klasyczny film nowej fali – *Do utraty tchu* Jean Luca Godarda. Drugiego dnia „Trakt filmowy” to wybór między *Hydrozagadką* Andrzeja Kondratiuka, *Hair* Miloša Formana i *Casablancą* Michaela Curtiza. Trzy różne nastroje, gatunki, trzy różne prezentowane przestrzenie, trzy miejsca o odmiennym charakterze.

Podróżować jest bosko, przemierzać filmowe czasoprzestrzenie i wybierać ulubione miejsca, ulubione filmy, chłonać nastroje, wielbić bohaterów i reżyserów. Zawsze trzeba jednak dokonywać wyboru, bo nie można obejrzeć wszystkiego, zerknąć w każdy zakątek świata i być wszędzie. Scalić to wszystko, zatrzymać... określić kierunek i... zagłębić się w eksplorację, pędzić z kina do kina, a niech buńczucznie skacze poziom adrenaliny!



# Moźdżer i Komeda

Krzysztof Dariusz Szatravski



Fot. Arkadiusz Korczin

Muzyka Krzysztofa Komedy należy do zjawisk legendarnych, niezmiennie rozbrzmiewając w pamięci i w sercach kilku już pokoleń Polaków. Wielokrotnie wydawane i wznawiane nagrania pianisty są wizytówką naszej kultury, będąc również filarami współczesnego jazzu i muzyki filmowej, fascynując żywotnością i aktualnością. Równocześnie muzyka Komedy wciąż inspirowa i zachęca kolejne pokolenia artystów – z jednej strony rozbrzmiewają oryginalne kompozycje i tematy, z drugiej w setkach wspomnień i opracowań trwa wciąż żywa pamięć o człowieku.

Pierwsze poświęcone Komedzie płyty ukazywały się już w pierwszych latach po śmierci pianisty. Najważniejsza bodaj była nagrana w styczniu 1970 roku płyta Kwintetu Tomasza Stańko *Music for K.*, ale były też płyty z muzyką samego Komedy. I nie tylko płyty ale również koncerty, filmy, wspomnienia, wystawy fotograficzne i wiele innych wydarzeń, którymi próbowano wypełnić pustkę, jaka pozostała po przedwczesnej śmierci artysty.

Leszek Moźdżer należy do pokolenia, które Komedy nie miało szansy usłyszeć na żywo. Co więcej, długo zwlekał, zanim zaczął grać Komedę. Jest w tym jakaś niezwykła zależność – Komeda zmarł nie ukończywszy 38 roku życia, Moźdżer decyzję o graniu utworów Komedy podjął jako 38-latek. Odniesieniem do nagłej śmierci artysty jest przerwana *Moja ballada*, kończąca płytę miniatura, której zakończenie sugeruje taki właśnie kontekst.

Płyta wydana przez niemiecką wytwórnię ACT błyskawicznie stała się sukcesem. Nagrana w ciągu czterech dni marca 2011 roku już w czerwcu stała się przebojem. Program ośmiu utworów otwiera *Svantetic*, należący do najbardziej charakterystycznych tematów Komedy. W ujęciu Leszka Moźdżera zamiast ekspresji i histerycznych niemal emocji oryginalnej wersji z drugiej strony płyty *Astigmatic* otrzymujemy wyciszoną, wirtuozowską, chwilami impresjonistycznie ulotną miniaturę. Również w koncertowym wykonaniu mimo wy-

razistszej ekspresji owa wirtuozowska lekkość narzuciła słuchaczom szereg skojarzeń wybiegających poza tradycyjne jazzowe asocjacje.

Zróznicowany program płyty zdominowały tematy balladowe. Obok najbardziej popularnych jak *Ballad for Bernt* znalazła się tu ballada z filmu *Prawo i pięść*, która pozwoliła pianiście na pięknie rozwiniętą improwizację w duchu Jarretowskim. Zjawiskowa interpretacja *Sleep Safe and Warm*, słynnej kołysanki z filmu *Rosemary's Baby*, zdrada z kolei impresjonistyczne uwrażliwienie na barwę. W wersji koncertowej, z natury bardziej wyczułonej na emocje, kołysanka wywiera wrażenie o wiele silniejsze, choć wiele niuansów przy okazji może umknąć.

Najciekawsza i najbardziej rozwinięta jest wersja kompozycji *Nighttime, Daytime Requiem*. Jest ona też najbardziej oryginalna estetycznie, pozostając świadectwem takiegoż stylu pianisty. W niektórych fragmentach interpretacja ta wykracza poza idiom jazzowy, przypominając o wspólnej Komedzie i Moźdżerowi skłonności przełamywania granic stylów. W innych pianista kołysze synkopami w stylu Chicka Corei. Moźdżer wypracował niepowtarzalny styl interpretowania muzyki, który bliższy jest raczej rekonstrukcji intencji i stylu niż odtwarzaniu Komedy.

Płyta ukazała się w czerwcu, a pierwszy koncert promocyjny, nie licząc oficjalnej premiery w Poznaniu, odbył się 8 lipca w nowej sali Warmińsko-Mazurskiej Filharmonii. Organizatorzy tego koncertu mogą bez wątplenia traktować to jako sukces, bowiem oficjalna trasa koncertowa promująca album w największych miastach Polski rusza dopiero w październiku. Po raz kolejny okazało się, że nie brakuje w Olsztynie słuchaczy zdolnych docenić wartościowe wydarzenie. Już dwa tygodnie przed terminem koncertu komplet biletów był wyprzedany. W związku z tym, że wielu słuchaczom nie wystarczyło miejsc, organizatorzy koncertu obiecują, że w nowym sezonie koncert ten zostanie powtórzony.





Sylvia Białecka

# Z *Musica* podróż wielokrotna

## Koncerty Letnie Zespołu „Pro Musica Antiqua”

Jest to podróż w przestrzeni – „Pro Musica Antiqua” przemieszcza się, odwiedzając kolejne miasta, miasteczka i wsie Warmii i Mazur. Podróż z nimi to propozycja dla wytrwałych i ciekawych świata. Na trasie zespołu i słuchaczy leżą nie tylko znane z przewodników tury-

stycznych miejscowości, takie jak Olsztyn, Lidzbark Warmiński czy Elbląg, ale również zagubione wśród pól małe wsie, w których często znaleźć można wartościowe obiekty architektoniczne. Tylko w tym roku „Pro Musica Antiqua” odwiedziła m.in. Mingajny, Chwałęciny, Ramsowo, Sząbruk, Stoczek Klasztorny i Głotowo. W Mingajnach wart obejrzenia jest pochodzący z XIV w. gotycki kościół św. Wawrzyńca z późnogotyckim tryptykiem umieszczonym w ołtarzu głównym, w Sząbruku

– kościół św. Anny i św. Mikołaja z późnogotyckimi freskami w starej części obiektu, w Ramsowie – barokowy kościół św. Andrzeja Apostoła i św. Rocha. Sanktuarium w Chwałęciny i Stoczku Klasztornym to prawdziwe perełki – przysadziste, barokowe sylwetki sprawiają zupełnie inne wrażenie niż znana powszechnie Święta Lipka. Obydwa zbudowane jako kościoły wotywno, w podzięce za koniec epidemii i wojny – surowe w zewnątrz, bogate w środku, zwłaszcza kościół chwałęciński, zdobiony wspaniałymi polichromiami wzmocniającymi iluzję krzyżowego sklepienia. Nie sposób też nie wspomnieć o legendarnym „czarnym krucyfiksie”, który w tajemniczy sposób powracał w miejsce swego odnalezienia nad Walszą, gdzie obecnie stoi Sanktuarium Podwyższenia Krzyża Świętego.

W tych i wielu innych miejscach koncertuje zespół „Pro Musica Antiqua”, zachęcając do odkrywania uroków Warmii i Mazur – wszak tylko w trójce wyznaczonych przez Stoczek, Chwałęciny i Głotowo są aż trzy inne barokowe obiekty. Wyprawa na koncert to z pewnością okazja do odwiedzenia rozmaitych miejsc w okolicy.

Koncerty Letnie to również podróż w czasie – na program festiwalu składają się utwory od renesansowych po współczesne. Zespół „Pro Musica Antiqua” tworzą uznani w Polsce artyści, soliści orkiestr symfonicznych i wykładowcy akademii muzycznych, którzy prowadzą bogate życie twórcze i ciągle poszerzają swój repertuar, odkurzając zapomniane partytury. Stąd koncert zespołu jest często jedyną okazją, by usłyszeć muzykę takich twórców jak: Jean Baptiste Loeillet, Joseph Bodin de Boismortier, Carl Heinrich Graun, Carl Philipp Stamitz, Giovanni Benedetto Platti, Benedetto Marcello, Gaetano Donizetti, Carl Ludwig Matthes, Gordon Jacob czy William Corbett. Ich utwory – obok twórczości Georga Philippa Telemanna, Georga Friedricha Händla, Antonio Vivaldiego i (oczywiście!) kilku pokoleń

Bachów – stanowią trzon repertuaru zespołu „Pro Musica Antiqua”. Ale europejska muzyka barokowa i klasycystyczna to nie wszystko, co zespół prezentuje podczas Koncertów Letnich. To także podróż przez dzieje muzyki polskiej – od renesansowych utworów anoni-

mowych po kompozycje twórców współczesnych, m.in. Marka Sewena, Mariana Sawy, Krzysztofa Pendereckiego, Bernarda Chmielarza, Marka Czerniewicza. Wiele z nich jest dedykowanych zespołowi „Pro Musica Antiqua” i zostało napisane specjalnie dla niego.

I wreszcie Koncerty Letnie to metaforyczna podróż do ogrodu muz, do miejsca, gdzie spotykają się muzyka, architektura, sztuki plastyczne i historia. Koncert w zabytkowym wnętrzu i otoczeniu wspaniałej przyrody to wielo-

wymiarowy spektakl, doświadczenie angażujące wszystkie zmysły – gdy brzmienie muzyki wzmocnione zostaje aurą pomieszczenia, piękno architektury i przyrody podkreślone brzmieniem muzyki, do tego gra światła w oknach i witrażach (czasem i letnia burza!)... Spektrum wrażeń estetycznych wzbogaca się o kolejne tony dzięki zaproszonym do współpracy artystom – instrumentalistom i wokalistom, aktorom, plastynom – oraz historykom. Przed kilku laty Zbigniew Urbalewicz tworzył podczas koncertów inspirowane muzyką dzieła plastyczne. Podczas tegorocznych koncertów odbywały się również wykłady poświęcone zabytkom architektury Warmii i Mazur. Andrzej Rzempotuch i Rudolf Bażanowski mówili o kościołach w Ostródzie, Bartoszcach, Szczytnie, Lidzbarku Warmińskim i Olsztynie, Marek Marcinkowski – o Kamienicy Naujacka. Co roku zespół pojawia się w nowych miejscach i proponuje nowe przeżycia.

Koncerty Letnie to także podróż do czasów, kiedy muzyka była codzienną potrzebą, formą towarzyskiego współżycia. Nie jest to właściwie festiwal, koncertowanie w dzisiejszym rozumieniu muzyki klasycznej – sztywność atmosfery i gorsetów. Muzycy spotykają się, by wspólnie muzykować, prowadzić dialog z innymi artystami i ich sztuką oraz z publicznością. Jest to raczej dzielenie się doświadczeniami, przeżyciami, opowieściami. Cały spektakl rozgrywa się w kameralnej, niemal salonowej atmosferze, a publiczność zapraszana jest do dzielenia (choć tylko biernie) pasji artystów.

PS. Jak z każdej podróży tak i z tej przywieźć można pamiątkę – zespół nagrał kilka płyt poświęconych poszczególnym miastom, w których gościł festiwal.

PS2. O bardziej i mniej znanych zabytkach Warmii i Mazur odwiedzanych przez zespół „Pro Musica Antiqua” i jego gości można poczytać w książce Andrzeja Rzempotucha *Przewodnik po zabytkach sztuki dawnych Prus Wschodnich* (Olsztyn, 1992).



# Piotr Bruegel Starszy

Dariusz Szymanowski

*Mojej żonie, Ewie,  
bez której n i c stałoby się wszystkim.*

W szesnastym stuleciu, mój drogi Piotrze – ktoś ma wiedzieć lepiej, jak nie ty? – drogę z Gdańska do Lubeki statkiem pokonywano w cztery dni; do Brugii i Londynu w dziesięć. Pieszo podróż z Pomorza do Flandrii zajmowała już ponad dwa tygodnie. Mimo to, a może na przekór temu, ludzie od zawsze decydowali się opuszczać miejsca swoich narodzin i przekraczać granice, za którymi droga powrotna blednie, by wreszcie zginąć pośród sterty przedmiotów i wspomnień. Ty również znalazłeś się daleko od domu. I wróciłeś, chociaż twym księstwem władał ten smutny Kastylijczyk Alva.

Odwieczna ciągłota człowieka do wędrówki nie tyle mnie jednak interesuje, ciebie również – jak się domyślam. Dręczy mnie myśl o niepojętej potrzebie osadnictwa, wrastania; a więc to, co skrupulatni botanicy zapisują pod postacią zapuszczania korzeni.

Teraz, gdy próbuję sobie przypomnieć te wszystkie sceny: kobiety zbierające kłosa, zalane brody i chrzciny wesole i syte, domostwa z dobrze ułożonym gospodarstwem, widzę tylko to, coś tam namalował. Wieczną maskaradę. Słyszę ich krzyk, czuję wiatr na skórze, choć morze jest spokojne, trwa pewnie, aż po sam horyzont. Poczucie ulgi to chyba ostatnie uczucie, jakie czują wszyscy – no! prawie wszyscy – którzy nawinęli się pod twój nieubłagany pędzel.

Oto twarz natury i twarz ściganego.

Kiedyś spojrzę jej w oczy. Obym po raz ostatni zdążył zobaczyć w nich ją. I siebie.

Drogi Piotrze, powiedz, skąd w nich tyle spokoju? Dwunastu apostołów chórem zwiastuje upadek i zniszczenie. Z lewej oni: lira korbowa, sieci, siwe lustra wody, w której przegląda się latarnia

samotna jak dzwonnica wieża. Pośród krzyku, płaczu i skowytu zwierząt to całe bestiarium: ważki, koń morski i bydlę w rozkładzie. Wydane jest teraz na formy mniej złożone. Nagi mężczyzna, widzisz go? – nie uniknie kary, która jest pewna, zupełnie jak to, że za chwilę świst stali oddzieli metrykę od ciała, a głowa potoczy się w dolinę. I to jest śpiew potępionych. Taki jest plan średni.

Lecz są jeszcze oni. Zatopieni we flamandzkim suknie. O czym on śpiewa? – zaczynając od wysokiego C. O krwawych zachodach, niemych egzekucjach nocą, w zatoce, daleko za miastem?



Ona, zapatrzona w niego kartkuje nuty, przy akompaniamencie śmierci. I tak trwają na granicy światów, wiecznie jaśniejący.

Co chciałeś mi powiedzieć? Słucham.

Tak mało piszą o tym, co widać, jakby świat, który przedstawiłeś, podany dla wszystkich, był mniej godny uwagi od tych domniemyanych hipotez, uczonych analiz. A mnie prowadzi do ciebie ta widoczna ścieżka. Podróż przez nią jest długa i męcząca. Dochodzę nią do

wzgórza, z którego widać, jak ci, którzy całe życie spędzili na ciągłej próbie poszukiwania spokoju, rozbudowywania domu i zapisania na własność choćby metra ziemi – teraz uciekają, a krzyk ich słychać aż tutaj.

Więc co, Piotrze, dobry Piotrze Bruegelu? Co nam zostaje?

Pozostań na miejscu – mówisz – skoro nie masz szans zmienić swego losu, choćby i jednego dnia. Nie szukaj, nie błądź, nie trać. Niech pierwszym i ostatnim, co zrobisz, będzie ta chwila spędzona z nią. To jedynie niech będzie twoim świadectwem, w którym mieża się wiara i lęk, niepewność i śmiech, miłość i przemijanie.

Bo cóż, powiedzcie, cóż innego stanowi o naszej godności?

Peter Bruegel Starszy. Triumf śmierci, ok. 1562

# Historie z podziem, krypt, a i kart drukiem zapisanych

Waldemar Tychek



Aliści biorąc historię literatury w arendę, rzeczył będę nie androny, a myśli swoje ku pomyśleniu Waszemu sposobil z katedry owej...

Otóż i w dzień Wigilii Bożego Narodzenia anno Domini 2011 obchodzić będziemy 213. rocznicę narodzin A. Mickiewicza, co też rok 2011, jako i wszystkie poprzednie, a i następne, winny w pamięci naszej onego jubilatą pozostawiać.

Wykłady moje splendoru nie przyniosą wszystkim tym bajbugom, co basować jeno historii potrafią. Azali to nie Mickiewicz Adam, wg terminów waszych, zrodzon był częściowo w Zaosiu, a częściowo w Nowogródku, hę? Jakże to tak być może?

Toć matka poety, Barbara z Majewskich, z neofitów przeciw litewskich pochodzenie swoje brała. Toć Majewscy, w poprzednich pokoleniach, Żydami dworskimi, na służbie u państwa Uzłowskich byli, a i obawiając się, iżby ich nie nakryli (podług ówczesnego ustawodawstwa, co zabraniało służby Żydom u dworu), chrzest przyjęli. Kimże zatem był A. Mickiewicz w zgodzie z prawem talmudycznym jako syn Żydówki? Powiecie, że szlachcicem może od strony ojca?

Ano, wedle akt Państwowego Archiwum Wileńskiego, Mikołaj Mickiewicz z chłopów pochodził, a i proces o szlachectwo miał, na którym przekupionych świadków swej błękitnej krwi przedstawił był. Mickiewiczze, już od ojców zatem rodowodu wątpliwego, cieszyli się złą opinią, a to za lichwiarstwo lubo i cyniczne dusicielstwo – o czym dowodzi nieskazitelna hrabianka Hutten-Czapska herbu Leliwa, siostra Józefa Czapskiego, czyli Maria Czapska w pozycji Jadwigi Maurerowej „Z matki obcej”.

Już ówczesnik Mickiewiczowski, niejaki Krasiński Zygmunt, któren sam w dresach chodził obszywanych koronkami, a i pretensję do literatury odwagę wysyłać miał pod postacią *Nieboskiej komedii*, stwierdził był o matce Adama, że się „przechrzciła przed półściem za ojca jego”. Ksawery Branicki zaś pisał: „Adam mi rzekł:...

ojciec mój z Mazur, matka moja z Majewskich, z wychrztów, jestem więc na pół Lechitą, na pół Izraelitą... i tym się szczycę!”.

Tu zdaje się nam, że Branicki na lekcjach geografii bardziej za pannami głową kręcił niż tablicę śledził. Jako że ojciec z Mazur, to Mickiewicz rodowód swój ze źródeł Łyny powinien był wywodzić, aliści Branicki bałamut i szalawilla był, i w austeriach kompaniom przewodził, zatem wielką niewiara mu. Bo gdybyż to prawdą było, to Mickiewicz pruskim Żydem byłby zwany, a to brzmi jako podobnie do „ruskiego murzyna”, co zamęt wprowadzić może na drodze naszej ku komitywie, co w latach drugiej połowy XX wieku bratnią była zwana.

A i sam Adam ancymonią się parął, bowiem w *Składzie Zasad* wykład swojego filosemityzmu przykład dał, rzecząc: „Izraelowi, bratu starszemu, uszanowanie, braterstwo, pomoc na drodze ku jego dobru wiecznemu i doczesnemu. Równe we wszystkim prawo” (pkt.10).

Według profesorów Kleinera i Jeske-Choińskiego Mickiewicz wierzył był w mistyczną rolę swojej osoby zamykającej tajemniczą więź jednej rodziny. Jego żoną, na swoje nieszczęście, była m.in. Celina z Szymanowskich, niewiasta szczególna, jako że dowiedziawszy się, iż ojciec jej, Józef, wywodził się z Żydów galicyjskich, zaś matka – Maria Agata Wołowska – córką była piwowara warszawskiego z pokolenia Judy, przez całe życie swe iży rzęsiście lała.

Mickiewicz, wierząc w ową teorię, asumpt jej dodał nieobycajny, biorąc na swą długoletnią kochankę i matkę swego nieślubnego dziecka – Xawerę Deybel – oczywiście również, jak byśmy dzisiaj powiedzieli, nieprawego wyznania.

Teofil Lenartowicz, podrzędnie się liczący w towarzystwie Mickiewicza, poeta, a i niedoszły jego szwagier, oburzał się w *Listach o Mickiewiczu*, że „wieszcz grzął w nieprawościach”. Jakich? A to już temat na następną rozprawkę.



Wioletta Jaskólska, Olsztyn, 2010, akryl na płótnie, 80x120



Wioletta Jaskólska, Olsztyn II, 2010, akryl na płótnie, 80x120





AKT WIOSNA 83'

AKT OLSZTYN

WA-MA  
19 maj 2002 - PIASKI

ANDRZEJK

AKT Olsztyn  
Wielka Żółtawa  
na Jezioraku  
7-10.05.2009  
WA-MA

19-20.02.2011  
RAJSKI RAJD  
PIESZY  
DŁĄKĘ MŁODEGO

PIASKI  
XXIX  
WA-MA  
5-8 V 88

AKT OLSZTYN  
PIASKI  
PIRYSZY

TURYSTYCZNY

Turniej Łuczniczy  
Zamek Szymbark  
22-24.10.2010

WYBANSKI  
SZYMBARK

RAJD ESKI  
AKT

20 lat AKT

RAJD STAŻYSTY  
1-2 VI '85  
AKT

GRZYBOBRANIE!  
84  
AKT

AKT OLSZTYN

Odnajmujemy wszystkich wrocławskich wódczyków. 50 lat Akademickiego Klubu Turystycznego w Olsztynie